

HARLEQUIN™ *Medical™ Duo*



Fiona McArthur

Niebezpieczna wyprawa

Meredith Webber

Kardiochirurg z Mediolanu

Fiona McArthur
Niebezpieczna wyprawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jonah Armstrong powoli odzyskiwał przytomność. Do jego świadomości zaczynały docierać poszczególne dźwięki i układać się w słowa:

– Jonah? Słyszysz mnie pan?

W głosie kobiety było coś tak kojącego, że koszmary senne zniknęły. Jęknął, uniósł powieki. Usiłował skupić wzrok na twarzy mówiącej.

Jej głowę otaczała aureola światła. Kim ona jest? Aniołem? Usiłował się odezwać, lecz język miał jakby przyklejony do podniebienia. Nieznajoma pochyliła się nad nim, żeby lepiej słyszeć.

– Pierścionek Melindy – szepnął z trudem i zamknął oczy. Nie miał siły dłużej walczyć z ciężącymi powiekami.

Doktor Jacinta McCloud, ordynator oddziału ratunkowego szpitala ogólnego w Pickford, spojrzała na duże dłonie mężczyzny i dotknęła sygnetu na jego małym palcu, ozdobionego delikatnym złotym motylkiem. Na widok tego ornamentu odruchowo potarła stopą niewidoczny tatuaż nad kostką drugiej nogi – jej własnego maleńkiego motylka.

– Ma go pan na palcu.

Znowu ten sam kobiecy głos. Próbował jeszcze raz unieść powieki, lecz mięśnie nie słuchały poleceń wy-

syłanych przez mózg. Pachnący miętą oddech musnął mu twarz.

– Znaleźliśmy przy panu bilet lotniczy. Dwa dni temu przyleciał pan z Papui-Nowej Gwinei. Z paszportu wynika, że spędził pan tam sporo czasu. Kiedy ostatni raz zażył pan lek przeciw malarii?

Tym razem mięśnie twarzy wykonały rozkaz. Jonah ujrzał nad sobą ciemne oczy, teraz przepelnione troską.

– Wczoraj wieczorem. Jest w kieszeni...

Jacinta wsunęła rękę do kieszeni jego spodni, wyjęła opakowanie leku i przeczytała nazwę. Odeszła od łóżka chorego i zwróciła się do pielęgniarki:

– Jeśli to rzeczywiście atak malarii, to ten szczep zarodźca nie reaguje na doksycyklinę. Musimy spróbować czegoś innego – rzekła przyciszonym głosem.

Gdy w końcu odzyskał świadomość, wiedział, że najgorsze ma już za sobą. Prostokąt światła wpadającego przez szparę w zasłonach był niczym drogowskaz do normalnego świata. Ostrożnie rozprostował nogi. Przy każdym ruchu wciąż odczuwał ból, lecz w porównaniu z dniem wczorajszym był on do zniesienia.

Słyszając, że ktoś zbliża się do łóżka, odwrócił głowę. Zmrużył oczy, by podwójny obraz zlał się w jedno. Zauważył, że kobieta miała czarne brwi, a pod nimi brązowe oczy wypełnione tym samym współczuciem co wczoraj. A więc nie była aniołem, lecz żywą istotą.

– Dzień dobry, doktorze Armstrong – przemówiła. – Widzę, że gorączka minęła.

Przełknął ślinę, oblizał wyschnięte wargi. Nieznajoma wzięła ze stolika przy łóżku szklanę z wodą i wsunęła mu w usta plastikową rurkę. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo jest spragniony. Chłodna woda spłynęła po wysuszonym gardle, podniebienie przestało być szorstkie jak tarka. Westchnął z wdzięcznością.

– Dzięki – szepnął. Nie poznawał własnego głosu. Cóż, i tak lepsze to niż śmierć, pomyślał.

– To wyjątkowo złośliwa odmiana malarii. Bałam się, że nie uda się nam pana z tego wyciągnąć.

W jej głosie słychać było wyraźnie, jak bardzo się cieszy, że odzyskał przytomność.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej – rzekł. Swoją drogą zabawne, pomyślał, że w sercu Papui-Nowej Gwinei przeżyłem ukąszenia tropikalnych węży i pajaków, nie mówiąc o atakach partyzantów, a kiedy dotarłem do cywilizowanego świata, zapadłem na chorobę przenoszoną przez komara. – Przepraszam, nie wiem, kim pani jest...

Czuł, że w jej obecności szybko odzyskuje siły.

– Jacinta McCloud – przedstawiła się nieznajoma. – Pracuję w tutejszym szpitalu na oddziale ratunkowym.

Jonahowi zakręciło się w głowie, lecz tym razem nie z powodu gorączki. W tej kobiecie było coś, co go urzekło, i to w sposób, jakiego jeszcze nie doświadczył. No, miej się na baczności, pomyślał. Gdzie twoja z takim trudem wypracowana odporność na kobiecy czar? Ogarnęła go panika. W jego życiu nie

ma miejsca dla kobiet, szczególnie takich, z którymi nie mógłby się łatwo rozstać!

Jak gdyby wyczuwając jego rozterki, Jacinta odwróciła się i podeszła do okna.

Uważnie śledził jej ruchy. Plecy miała wyprostowane jak u staroświeckich zakonnice misjonarek, które znał w dzieciństwie. Płonne nadzieje, pomyślał z ironią. Doktor McCloud emanuje kobiecością i nie przypomina zakonnicy. Zły na siebie za te niewczesne myśli, z wysiłkiem podciągnął się wyżej, aż oparł plecy o tylną ściankę łóżka. Od razu poczuł, że panuje nad sytuacją.

Jacinta natomiast czuła się niemal tak, jak gdyby sama miała atak malarii. Odruchowo szarpnęła zasłony i otworzyła okno. Poranne słońce zalało pokój, wilgotne powietrze owiało jej rozpalone policzki. Przypomniła jej się wczorajszy dzień i moment, gdy po raz pierwszy ujrzała doktora Jonaha Armstronga.

Kiedy załoga karetki przepchnęła wózek szpitalny z leżącym na nim mężczyzną przez drzwi oddziału, Jonah niespokojnie rzucał się i majaczył. Rozpacz w jego głosie była tak wielka, że Jacinta podbiegła i wzięła go za rękę. Dziwne, ale pod wpływem jej dotyku chory uspokoił się, a gdy znaleźli się w izbie przyjęć i cofnęła rękę, odwrócił głowę, jak gdyby jej szukał. Na jej dłoni zaś pozostał niewidoczny odcisk jego rozpalonych gorączką palców. A może to coś więcej, pomyślała wtedy i zdziwiła się, że przychodzą jej do głowy tak absurdalne pomysły.

Znacznie później, już w domu, gdy położyła się i zgasiła światło, zachowany pod powiekami obraz

pełnych przerażenia błękitnych oczu Jonaha długo nie pozwalał jej zasnąć. Niemal namacalnie czuła, że łączy ich jakaś tajemnicza więź. Dziwne, myślała, przecież nie należę do osób z wybujałą wyobraźnią.

Nie miała czasu na podobne nonsensy, tak jak nie miała czasu na zajmowanie się tajemniczymi lekarzami cierpiącymi na malarię, którzy trafiali na oddział ratunkowy. Nie, nie, doszła do wniosku, tu nie chodzi o tego mężczyznę, a o ciekawy przypadek medycyny tropikalnej.

Powiew wiatru musnął jej twarz i sprowadził ją na ziemię. Tak, zdecydowała, otwarte okno pomoże stworzyć odpowiedni dystans między nami. Nagle ostre promienie słońca oślepiły ją. Natychmiast wyciągnęła rękę, by zasunąć zasłony, przecież światło może razić Jonaha.

– Proszę zostawić odsłonięte.

Głos chorego brzmiał teraz znacznie mocniej, a lekko rozkazujący ton sprawił, że się odwróciła. Jonah siedział oparty o wezglowie łóżka, a jego szeroki tors przecinała linia ciemnych włosów ginąca pod prześcieradłem. Skoro zwracasz uwagę na takie rzeczy, pomyślała, to lepiej wyjdź.

– Cieszę się, że czuje się pan lepiej – zwróciła się do Jonaha bardziej oficjalnie niż dotychczas. – Zajrzałam tylko po drodze na oddział, żeby sprawdzić, czy kuracja przyniosła efekty. Pewnie się już nie zobaczymy...

Co za nedorzecznosc! Opanuj się! Uśmiechnęła się zdawkowo i ruszyła w kierunku drzwi.

– Mów mi po imieniu – usłyszała za plecami.

Obejrzała się przez ramię. – Dziękuję za opiekę, Jacinto.

Po raz pierwszy uśmiechnął się do niej, a ona pomyślała, że wolałaby nie widzieć jego twarzy, teraz całkowicie odmienionej: błysku białych zębów, lekkiej ironii w zmrużonych oczach, ani czuć ciepła bijącego z całej postaci i wypełniającego pokój. Mimo- wolnie odpowiedziała mu uśmiechem.

– Nie ma za co – odparła i szybko odwróciła wzrok.

Musi natychmiast opuścić ten pokój, inaczej opadnie na najbliższe krzesło i zacznie wpatrywać się w niego jak zauroczona.

– Czy istnieje pan McCloud?

Znowu się obejrzała. Promień światła padał na sygnet z motylkiem na małym palcu Jonaha. Potargane włosy nadawały mu wygląd pirata. Przewrotny błysk w jego oczach rozbawił ją. Siłą się powstrzymywała, by nie wybuchnąć śmiechem. Czuła się jak po kieliszku szampana – i to nie po jednym, a co najmniej dwóch.

– Widzę, że naprawdę czujesz się znacznie lepiej – mruknęła pod nosem.

– Czekam na odpowiedź.

Nie do wiary! Ten mężczyzna, który powinien być półprzytomny z gorączki, próbuje ze mną flirtować!

– Istnieje – odparła, zrobiła efektowną przerwę i dodała: – Mój ojciec. I raczej nie pan, a doktor McCloud. No, na mnie czas.

– Wpadnij na chwilę po południu – poprosił. – Opowiesz mi, dlaczego tak szybko odgadłaś, że mam malarię.

Aha, podpowiada mi pretekst do odwiedzin, ale ja muszę wpierw ochłonać, żeby nie dać sobie zawrócić w głowie, pomyślała, na głos zaś odrzekła:

– Nie obiecuję. Niewykluczone, że będę pracować do późna. Do widzenia, doktorze Armstrong.

– Do widzenia, doktor McCloud – odparł równie oficjalnie i skinął głową z pewnością siebie tak charakterystyczną dla przystojnych mężczyzn.

Za Jacintą zamknęły się drzwi. Chociaż uważnie nasłuchiwał, nie słyszał oddalających się kroków. Właściwie dlaczego chciałby je usłyszeć? Uśmiech zniknął mu z twarzy, a on sam przygarbił się, zamknął oczy.

– Nie igraj z ogniem. Nie pchaj się w tę znajomość – ostrzegł go wewnętrzny głos.

Jonah potrząsnął głową, zdumiony absurdalnością tego pomysłu.

Upragniony sen nie przychodził. Jonah widział nad sobą wypełnione ciepłem i troską ciemnobrązowe oczy Jacinty McCloud, a jego duszę przepełniała tęsknota, której nigdy nie pozwolił się zdominować. Przeraził się, lecz nie ze względu na niego samego, a ze względu na nią.

Po stracie matki i siostry pogodził się z myślą, że samotnie przejdzie przez życie, lecz te kilka chwil, które spędził z Jacintą, niespodziewanie zachwiały jego postanowieniem. Otworzył oczy i ponownie spojrzął na drzwi. Może po południu w ogóle nie przyjdzie? Może jej już nigdy nie zobacze? Z cynicznym dystansem do samego siebie zastanawiał się, jak daleko się posunie, żeby ją odnaleźć.

Szła szpitalnym korytarzem w miękkich pantoflach. Mimowolnie wciąż zerknęła na zegarek. Po raz pierwszy spóźniła się do pracy. Zaciśnęła wargi.

Jednym z powodów, dla których w tak młodym wieku zostałam ordynatorem oddziału ratunkowego, była rzetelność i odpowiedzialność, przypominała sobie. I właśnie dlatego dziś po południu nie powinnam odwiedzać Jonaha.

Los jednak sprzyścił się przeciwko niej. Po raz drugi w ciągu ostatnich dni przyjęto pacjenta z silnym bólem głowy, wysoką gorączką i dreszczami. Testy wykluczyły malarię, dengę oraz zapalenie opon mózgowych. Jedynym kluczem do rozwiązania zagadki był niewielki strupek po ukąszeniu, które, jak twierdziła żona chorego, miało miejsce mniej więcej tydzień temu. Stan pana Rossa, mężczyzny w starszym już wieku, gwałtownie się pogarszał. Trzeba go było koniecznie przenieść na oddział intensywnej opieki.

A może doktor Armstrong będzie miał jakiś pomysł? – pomyślała nagle. To dlatego o czwartej trzydzięci po południu, na pół godziny przed końcem pracy, znalazła się przed pokojem Jonaha.

Zanim zdążyła zapukać, drzwi otworzyły się z drugiej strony. Cofnęła się, zaskoczona. Przed nią stał Jonah i, chociaż chwiał się lekko na nogach, wyglądał imponująco. Cofnęła się jeszcze o krok. Gdy leżał w łóżku, nie wydawał się aż tak wysoki i tak dobrze zbudowany.

– Możesz już wstawać? – spytała zdziwiona.

Jonah zamrugał powiekami. Jakże ma piękne oczy,

jakie błękitne, pomyślała. Teraz już nie miała cienia wątpliwości, że nie powinna była tu przychodzić.

– Tak się cieszę, że wpadłaś – odezwał się i szerokim gestem zaprosił ją do środka. – Myślałem, że oszaleję sam w tym pokoju.

Ignorując głos rozsądku, Jacinta uległa pokusie i przekroczyła próg. Nie straciła jednak kontenansu.

– Jeśli tak bardzo brakuje ci kontaktu z ludźmi, załatwię ci przeniesienie do czteroosobowej sali – zaproponowała.

– Wolałbym raczej wrócić do normalnego świata, ale nie mówmy o tym i cieszymy się nawzajem swoim towarzystwem.

– Nie przyszłam w celach towarzyskich. – Już w pełni odzyskała panowanie nad sobą. – Przyszłam prosić cię o konsultację.

– To nawet lepiej – odparł, wskazał jej krzesło, a sam położył się na łóżku. Teraz widać było, jak bardzo wyczerpała go ta eskapada.

– Dużo pracowałeś za granicą i masz doświadczenie z chorobami tropikalnymi – zaczęła. Jonah potwierdził skinieniem głowy. – Przyjęliśmy pacjenta z silnymi bólami głowy – ciągnęła – gorączką ponad czterdzieści stopni, wysypką, dreszczami i powiększeniem węzłów chłonnych. Na prawym przedramieniu odkryłam ranę, teraz pokrytą czarnym strupkiem. – Urwała i spojrzała na Jonaha pytającym wzrokiem, lecz on dał jej tylko znak, by mówiła dalej. – Puls przyspieszony, ciśnienie spada, majaczy, występują skurcze mięśni twarzy. Jest w stanie krytycznym.

– Czy ostatnio był w lasach tropikalnych? Może kasłał?

– Żona wspomniała o kaszlu na początku choroby. Poza tym tak, zgadza się, przebywali w dżungli. Tydzień temu wrócili z północnego Queenslandu.

Jonah pokiwał głową.

– Czyli infekcja rozwija się od tygodnia. Zrobiłbym próbę na chorobę tsutsugamushi, inaczej dur tropikalny. Strup wyraźnie na nią wskazuje. Pochodzi od ukąszenia na przykład wszy, w wyniku którego do organizmu przenikają riketsje, drobnoustroje wywołujące chorobę. Obserwujcie, czy nie wywiąże się zapalenie mięśnia sercowego. Dobre wyniki daje leczenie chloramfenikolem albo tetracykliną.

Otak. Po prostu. Jacinta była pod wrażeniem, zdawała sobie jednak sprawę, że w jej rozmówcy pociąga ją nie tylko wiedza. Wstała. Nie ma już pretekstu, żeby dłużej zostawać w pokoju Jonaha.

– Dziękuję. Przekażę twoje uwagi lekarzowi na intensywnej – oznajmiła. – Co sprawiło, że zainteresowałaś się chorobami tropikalnymi i opieką zdrowotną w krajach rozwijających się?

Jonah uśmiechnął się lekko. Usiadł, spuścił nogi z łóżka, tak że już nie patrzyła na niego z góry, i przebiegł wzrokiem po jej twarzy, jak gdyby chciał sprawdzić, czy naprawdę interesuje ją jego życiorys.

– Wychowałem się na misjach w Papui-Nowej Gwinei – odparł. Głęboki tembr jego głosu brzmiał fascynująco. Mogłaby go słuchać cały dzień. – Miałem niezwykle dzieciństwo – dodał. – Sądziłem, że jesteśmy jedynymi ludźmi mówiącymi po angielsku

w promieniu wielu mil. Ale życie miało też i swoje cienie. Jadłem rzeczy, które nie pojawiłyby się na stole w Sydney, a poziom higieny pozostawiał wiele do życzenia. Lekarze pracujący w tamtych regionach stykają się z pacjentami w tak zaawansowanym stadium choroby, że trudno uwierzyć, że człowiek jest jeszcze zdolny do poruszania się, nie mówiąc o przejściu setek mil, aby dotrzeć do szpitala. – Wzdrygnął się, lecz jego oczy nabrały takiego blasku, że zrozumiała, iż dopiero teraz jest naprawdę sobą. – Pasjonują mnie nie tylko choroby tropikalne jako takie, ale ich rozwój. Wciąż tam wracam, bo gdybym tego nie robił, jakiś inny lekarz musiałby pracować ponad siły. Wierzę, że mogę się przydać.

Jacinta pokiwała głową. Zdawała sobie sprawę z tego, że Jonah ujawnił przed nią tylko część swoich motywów. Z chęcią wysłuchałaby dłuższej opowieści o jego doświadczeniach.

– Wiem, że obecnie w Papui-Nowej Gwinei sytuacja polityczna nie jest stabilna. Czy jest bardzo niebezpiecznie? – zapytała.

Jonah wzruszył ramionami.

– Nie powiedziałbym, że jest zbyt niebezpiecznie, żeby tam pracować. – Urwał i uśmiechnął się niewesoło. – Ale to nie miejsce dla białych kobiet i dlatego nigdy nie myślałem o ożenku. Ryzyko jest zbyt wielkie, żeby zakładać rodzinę. Ojciec przekonał się o tym, kiedy zabito moją matkę. Wysłał mnie i siostrę do szkoły w Sydney, lecz ja już wówczas postanowiłem wrócić, kiedy dorosnę. Podobnie jak rodzice wierzę, że ludzie tamtego regionu nie są źli.

Jacinta chciała zapytać o pierścionek z motylkiem, lecz milczała. Zobaczyła, że Jonah potrząsnął głową, jak gdyby chciał odpędzić tragiczne wspomnienia.

– A ty? – zwrócił się do niej. – Co zadecydowało, że zostałeś lekarzem?

Chociaż nie była zadowolona z pytania, czuła się w obowiązku odpowiedzieć.

– Kiedy byłam młodsza, otarłam się o rzeczy, które sprawiły, że zapragnęłam zapobiegać niepotrzebnej śmierci. Mnie było łatwiej, bo ojciec miał pieniądze, a poza tym sam jest lekarzem. – Przemilczała, że ofiarą była jej matka, która zmarła przy porodzie, oraz to, że jako nastolatka przez rok mieszkała w strasznej biedzie, dopóki ojciec jej nie odnalazł. O innej śmierci też nie chciała wspominać. Jonah nie musi wiedzieć o takich rzeczach. – Muszę iść – rzuciła. – Dziękuję za sugestię o tyfusie. Zanim pójdę do domu, przekażę twoje uwagi lekarzowi prowadzącemu.

– Zobaczymy się jutro? – Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że nie wiedziała, gdzie podziać wzrok. Spojrzała na zegarek. Tak długo tu siedziała?!

– Raczej nie. Uważaj na siebie.

Dziesięć minut później, po rozmowie z lekarzem na temat nowej diagnozy i zleceniu dodatkowych badań, opuszczała szpital z myślą, że zamęt, jaki Jonah Armstrong wprowadził w jej serce, jest ceną, którą warto było zapłacić za możliwość pomocy choremu.

Kot był przyzwyczajony do późnych powrotów

swojej pani. Na myśl o swym ulubieńcu Jacinta uśmiechnęła się.

Siedziała właśnie za kierownicą czerwonego kabrioletu, który otrzymała w prezencie od ojca z okazji uzyskania dyplomu. W samochodzie było dziś wyjątkowo gorąco. Opuściła dach i z rozkoszą wystawiła głowę na wiatr. Położyła biały płaszcz na wąskim tylnym siedzeniu, zrzuciła pantofle i stopy w samych pończochach oparła na pedałach. Dlaczego nigdy tak nie prowadziłam? – zastanawiała się. Było coś zmysłowego i wyzwalającego w jeździe z rozwianymi włosami, z bosą stopą na pedale gazu.

Skręciła na podjazd przed domem i stanęła, czekając, aż automatyczne drzwi do garażu się otworzą. W oknie domu widziała kota przechadzającego się po parapecie.

Gdy otwierała drzwi, zadzwonił telefon. Moggy, młodziutki syjamski kotek, zaczął ocierać się o jej nogi, niezadowolony, że nie poświęca mu uwagi. Jacinta westchnęła. Za pół godziny musi wyjść do schroniska.

W drodze do kuchni odebrała telefon. Dzwoniła druga żona ojca. Jacinta zerknęła na kalendarz. No tak, zbliża się pora comiesięcznej wizyty Noni w Sydney. Przytrzymując słuchawkę brodą, wyjęła z lodówki gotowe danie, zdjęła z wierzchu folię i włożyła tackę do mikrofalówki.

– Tak, miałam dobry dzień – odpowiedziała na pytanie macochy. – Jak tata i dzieciaki?

– Dobrze. Wieki cię nie widzieliśmy. Chciałabym przyjechać w najbliższy weekend, jeśli ci to odpowiada.

Jacinta uśmiechnęła się do siebie.

– Zawsze mi odpowiada. Właśnie sprawdziłam w kalendarzu, że zbliża się pora twoich odwiedzin.

Jacinta domyślała się, że Noni wolałaby, by dla odmiany to ona przyjechała do oddalonej o pięćset kilometrów Burry, lecz wizyta w miejscu, z którym wiązały się jej najszcześniejsze wspomnienia, zawsze rozdzierała jej serce.

To tam właśnie poznała Noni, położną, do której zaprowadził ją ojciec, gdy odkrył, że jego nastoletnia córka jest w ciąży.

Przecucie kazało matce Jacinty szukać kontaktu z byłym mężem, Ianem McCloudem, by poinformować go, że ma siedemnastoletnią córkę. Zanim list dotarł do Iana, Adele zmarła podczas porodu na atak serca spowodowany wadą wrodzoną. Zmarło także owo dziecko. Po jej śmierci Jacinta, przyzwyczajona do trudnych warunków i nieświadoma, że ma ojca, zamieszkała w komunie, gdzie poznała skrajne ubóstwo. Gdy zaszła w ciążę, jej chłopak zostawił ją, ona zaś nie dbała o zdrowie ani swoje, ani swojego nienarodzonego dziecka, naiwnie wierząc, że umrze przy porodzie, tak samo jak matka.

Pewnego dnia w ruderze, gdzie koczowała wraz z innymi, zjawił się elegancko ubrany mężczyzna. Twierdził, że jest jej ojcem i zabrał ją do domu nad zatoką.

Początkowo stosunki między nim a córką były napięte. Ian McCloud wywiózł dziewczynę z Sydney, jak najdalej od wspomnień o przeszłości.

Dla Jacinty przyzwyczajonej do codziennej walki

o byt znalezienie się pod opieką mężczyzny, który zapewniał jej wszystko, czego potrzebowała – nie mógł tylko dać jej matki – było doświadczeniem surrealistycznym. Dręczyło ją pytanie, dlaczego ten mężczyzna nie odnalazł ich siedemnaście lat wcześniej?

Ten trudny dla obojga okres trwał, dopóki nie poznali Noni, instruktorki w szkole rodzenia, która później została drugą żoną Iana. W pensjonacie prowadzonym przez ciotkę Noni Jacinta nauczyła się kochać ojca, a w końcu urodziła córeczkę, Oliwię.

Z Burrą wiązały się jej najlepsze wspomnienia z okresu po śmierci matki. Wspomnienia również tych kilku cudownych tygodni przeżytych wraz z córeczką, zanim odkryto u niej tę samą wrodzoną wadę serca, która zabiła jej babkę.

Najlepszy chirurg w Sydney zgodził się operować dziecko, lecz prognozy nie były optymistyczne. Oliwia zmarła, a po jej śmierci Jacintę ogarnęły wyrzuty sumienia, że w ciąży niedostatecznie dbała o siebie. I nic nie pomagały zapewnienia wszystkich, że Oliwia była obciążona genetycznie. To wtedy, jako ostateczne pożegnanie, kazała wytatuować sobie małego motylka na kostce.

Potem, przy wsparciu ojca i Noni, poświęciła się całkowicie nauce. Chciała zostać lekarzem, a wolny czas spędzała w schronisku dla trudnej młodzieży, gdzie zaprzyjaźniła się z wieloma młodymi kobietami przeżywającymi te same dylematy, co ona przed spotkaniem z ojcem.

Ostatnio Noni zaczęła napomykać, że powinna

dokonać jakiejś zmiany w swoim życiu, nie ograniczać się tylko do pracy i działalności społecznej. Zaczynij podróżować, weź jakiegoś zwierzaka, podpowiadała.

– Kiedy masz urlop? – pytała teraz.

– Nie mogę wziąć urlopu. Przecież podarowałaś mi kota.

– Kotem my możemy się zaopiekować – odparła Noni.

Jacinta bardzo chciałaby zobaczyć minę ojca, gdy Noni zaproponowała opiekę nad Moggym. Uśmiech jednak szybko zniknął z jej twarzy. Nie należała do osób, które potrafią wypoczywać. Gdyby miała więcej wolnego czasu, a nie kilka godzin raz w tygodniu, nie wiedziałaby, jak go spędzić. Zerknęła na zegarek. Cóż, dzisiejszy dzień minie pod znakiem spóźniania się, pomyślała.

Przed oczyma mignęła jej twarz Jonaha.

– Poznałam dzisiaj interesującego mężczyznę – wyrwało jej się. Po drugiej stronie zaległo milczenie. Ubiegając pytanie Noni, dorzuciła: – Muszę pędzić. Pa! Ucałuj ode mnie wszystkich. Jeśli wrócę o jakiejś ludzkiej porze, zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę, rozsunęła drzwi do ogrodu i wypuściła kota na dwór. Potem poszła na górę. Mijając roślinę, którą miesiąc temu dostała od Noni, a która teraz przedstawiała sobą rozpaczliwy widok, pomyślała, że wreszcie musi ją podlać.

Ojciec często jej powtarzał, że bierze na siebie zbyt wiele obowiązków, lecz ona wiedziała, że w życiu niczego nie można być pewnym i że ona po prostu

w ten sposób zabezpiecza się na przyszłość. Nie było go z nimi, gdy Adele zaharowywała się, by nakarmić i ubrać ich córkę.

Możliwe, że gdyby Ian McCloud od początku wiedział, że ma dziecko, nie pozwoliłby, aby cierpiało niedostatek – przecież przez ostatnie dwanaście lat dbał o nią – lecz Jacinta nie chciała w nieskończoność korzystać z jego pomocy. Uważała, że winna jest to pamięci matki.

Postanowiła, że mimo iż należała teraz do warstwy ludzi zamożnych, będzie korzystać z majątku ojca tylko dopóty, dopóki nie stanie na własnych nogach. Ojciec ma nową rodzinę i musi dbać przede wszystkim o nią.

Rozejrzała się po domu i zrozumiała, że spełniła swoje oczekiwania. Problem w tym, że wśród tych wszystkich zgromadzonych dóbr jest sama jak palec.

Ma dwadzieścia dziewięć lat, dyplom, wysokie kwalifikacje, posadę, oszczędności i jest panią swojego życia. Tylko że ono składa się z pustych dni i nocy.

Opadła na fotel i spojrzała w okno.

Osiągnęła zamierzone cele, więc dlaczego nagle znalazła się dziś w takim dołku? Co by było najlepszym lekarstwem na jej chandrę?

ROZDZIAŁ DRUGI

– Choroby tropikalne i podróże – rzucił Jonah Armstrong i wzruszył ramionami, a zauroczone pielęgniarki westchnęły z rozmarzeniem.

Właśnie na taką scenę trafiła Jacinta, gdy następnego ranka zjawiała się w pracy. Uśmiechnęła się z poczuciem wyższości. Głupie gęsi, pomyślała i udała, że nie zauważa Jonaha.

– Doktor McCloud! – zawołał. – Właśnie cię szukałem.

Stadko pielęgniarek rozpierzchło się gwałtownie, a Jacinta przybrała minę rzeczowego lekarza. Krytycznym wzrokiem zmierzyła pacjenta od stóp do głów i rzekła:

– Widzę, że czujesz się znacznie lepiej. Wobec tego już dziś możemy cię wypisać.

Jonah wyglądał blado, a jego skóra miała żółtawy odcień, Jacinta była jednak pewna, że przy tak silnej konstrukcji fizycznej zwalczy pozostałości choroby, oczywiście pod warunkiem, że będzie na siebie uważał.

– Obiecuję, że nie pójdę od razu do pubu i że będę oszczędzał wątrobę, jeśli to miało sugerować twoje taksujące spojrzenie – odparł.

Rozbroił ją tym bezbłędnym czytaniem w myślach.

– I mam nadzieję, że odczekasz z miesiąc, zanim polecisz w rejony zagrożone malarią – dorzuciła.

– Nie będę się spieszył z wyjazdem z Sydney. Na pewno zostanę tu jeszcze dwa tygodnie – odrzekł. – Mogę zatelefonować, jeśli natknę się na jakąś ciekawą chorobę tropikalną? – spytał znienacka.

Zaskoczona, spojrzała mu prosto w oczy.

– Od poniedziałku do piątku możesz mnie zawsze zastać tu w szpitalu.

– Miałem na myśli weekend.

Jego riposta była tak szybka, że Jacinta nie zdołała pomyśleć o odmowie ani ukryć wypieków, które pojawiły się na jej policzkach. Strasznie dawno żaden mężczyzna z nią nie flirtował. Zmarszczyła brwi. Czyżby mi się spodobał? A gdyby nawet, to co? Nie zamierza zostawać długo w Sydney, więc nic mi z jego strony nie grozi.

– Doskonale rozumiem, że nie chcesz podawać prywatnego numeru telefonu obcemu mężczyźnie – dorzucił.

Był tak inny od wszystkich znajomych, a ostatnio jej życie było takie monotonne... Poza tym zaczynała w niej kiełkować ciekawość, jak będzie spędzał czas, kiedy ona będzie w pracy.

– Nie sądzę, żebyś mnie zastał, ale może uda się nam jakoś spotkać przed twoim wyjazdem... – Czyżbym wzbudziła jego zainteresowanie? Cóż, miło wiedzieć, że się spodobałam atrakcyjnemu mężczyźnie. Zerknęła w kierunku drzwi prowadzących na oddział ratunkowy, lecz nic nie wskazywało na to, że jej obecność jest tam pilnie potrzebna. Za to przez

szybę zauważyła dyrektora administracyjnego, który uśmiechnął się domyślnie i ruszył w ich stronę. – Znajdziesz mnie w książce telefonicznej. J. McCloud, Bondi Beach – dorzuciła pospiesznie.

Jonah wyciągnął do niej rękę i rzekł:

– Dziękuję. Chciałbym się pożegnać i podziękować za opiekę. – Wyjął z kieszeni wizytówkę. – Jeśli zdarzy się równie tajemniczy przypadek jak wczoraj, proszę o telefon albo o e-maila. Mam nadzieję, że moja wiedza się przyda.

– Dzięki – rzekła, a widząc zbliżającego się dyrektora administracyjnego, szybko zakończyła rozmowę, mówiąc: – Wpiszę cię do naszego banku danych jako konsultanta.

Jonah uśmiechnął się zdawkowo do obojga, potem obrzucił Jacintę powłóczyстым spojrzeniem, skinął jej lekko głową i oddalił się. W tej samej chwili rozległ się sygnał podjeżdżającej pod szpital karetki, toteż Jacinta pobiegła na oddział. Nie zadzwoni, zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim rzuciła się w wir pracy.

Kiedy wrócił do hotelu, nieprzyjemnie uderzył go bezosobowy wystrój jego pokoju. Najwyższy czas znaleźć sobie jakieś lokum w Sydney, miejsce, które mógłbym nazwać domem, postanowił.

Nie po raz pierwszy myślał o zamieszkaniu w Sydney na stałe, lecz po raz pierwszy tak poważnie. Ostatnie dziesięć lat spędził, podróżując po całym świecie, a podczas krótkich urlopów przemieszkował albo u przyjaciół, albo, gdy nie był nastrojony towarzysko, w hotelach.

Większość wolnego czasu poświęcał na zdobywanie leków i zabieganie o wsparcie finansowe, dzięki czemu mały szpital w Papui-Nowej Gwinei, gdzie pracował, jeszcze działał. Właściwie nie posiadał domu, gdzie mógłby zgromadzić swoje rzeczy, robić to, na co ma ochotę, i nie musieć być dla nikogo uprzejmym.

Mógłby sprzedać trochę akcji, które ojciec kupił na czarną godzinę, i nadal żyć dostatnio z dywidend od pozostałych. W czasie, gdy sam nie korzystałby z domu, mógłby go wynajmować kolegom chcącym spędzić urlop w mieście. A w końcu mógłby go zapisać w testamencie misjom.

Jonah miał kilku znajomych wśród pośredników handlu nieruchomościami, lecz postanowił najpierw sam się rozejrzeć. Ale dopiero jutro, kiedy poczuje się silniejszy. Zawsze lubił Sydney, a dziś rano polubił je jeszcze bardziej. Może dzięki ciemnowłosej, ciemno-okiej lekarce? Dziwne, jak wyraźnie obraz Jacinty McCloud utkwił mu w pamięci. Zazwyczaj nie zaprzątał sobie głowy kobietami, które nie znały jego zasad gry.

Dawno temu postanowił unikać zaangażowania i mimo rozwijającej się turystyki uważał, że Papua-Nowa Gwinea wciąż jest zbyt niebezpieczna, by osiedlić się tam z rodziną. Melinda mu o tym przypominała. Na myśl o niej zawsze odczuwał wyrzuty sumienia.

Dotknął sygnetu na małym palcu. Byli tacy naiwni, tacy głupi, a jego siostra zapłaciła za to najwyższą cenę.

Jonah uważał, że jest już za stary, by zmieniać tryb życia i podjąć regularną pracę, jak ten kolega Jacinty ze szpitala, który robił do niej cielece oczy.

Podniecony tymi rozmyślaniami wstał, by nalać sobie drinka i wówczas przypomniała mu się dana żartem obietnica, że przez kilka tygodni będzie oszczędzał biedną wątrobę. Uśmiechnął się krzywo i odstawił buteleczkę szkockiej whisky do lodówki. Potem, aby odpędzić od siebie czarne myśli, poszedł do łazienki i wziął prysznic. Depresja to normalny objaw po ciężkim ataku choroby, zadrwił z siebie.

Następnego ranka włączył laptopa i zaczął przeglądać internetowe strony pośredników handlu nieruchomościami. Dziwne, ale najczęściej zatrzymywał się przy ofertach domów wystawionych na sprzedaż w dzielnicy Bondi.

W następną niedzielę przebywająca w domu Jacinty Noni odebrała telefon.

– Jacinto! Do ciebie! – zawołała. – Jakiś pan. Jonah – dodała ciszej.

Jacinta zerknęła w lustro. Jak mam się zachować, pytała własnego odbicia. Przez cały tydzień wmawiała sobie, że Jonah nie zadzwoni, że to wędrowny ptak, który przypadkiem zatrzymał się na kilka tygodni w mieście. W najlepszym wypadku będzie dla niego przygodą, w najgorszym, złamie jej serce. Nie, nie, ona do tego nie dopuści. Jest interesujący i naprawdę chce się dowiedzieć czegoś więcej o jego pracy, ale to wszystko.

Plan wydawał się ryzykowny, lecz kuszący.

– Już idę – odkrzyknęła.

Ściągnęła ręcznik z drążka, szczelnie się nim owinęła, potem jeszcze raz odkręciła kurek z zimną wodą i oplukała twarz. Dlaczego nagle policzki tak jej pałały?

Naprawdę nie sądziła, że Jonah zadzwoni.

– Chyba rozmawiał z komórki, bo się rozłączył – dobiegł ją głos Noni.

Jacinta usiadła na taborecie przed toaletką i zamknęła oczy. Może to znak? Nie, nie wierzyła w żadne znaki. Jeśli Jonah zadzwoni powtórnie, powiem, że na cały dzień wychodzę. Jeśli jeden telefon wywołuje we mnie aż takie palpacje, to niedobrze. Ale najprawdopodobniej nie zadzwoni, uspokajała się.

Pięć minut później zabrzączał dzwonek u drzwi. Serce zabiło jej szybciej.

– Mam otworzyć? – Noni zawołała z kuchni.

– Sama otworzę! – odkrzyknęła i popędziła do sypialni, gdzie przez głowę naciągnęła letnią sukienkę, która nie wymagała zakładania pod nią biustonosza. Potem mokre jeszcze włosy przeczesła grzebieniem i związała w koński ogon. To moja wina, że Jonah się tu zjawiał. Głupio zrobiłam, mówiąc, że figuruję w książce telefonicznej, wyrzucała sobie.

Dzwonek u drzwi odezwał się ponownie. Tym razem Noni milczała. Jacinta niespiesznie zeszła po schodach, minęła hol i zanim otworzyła drzwi, zerknęła przez judasza. Nie pomyliła się, na progu stał Jonah.

– Nie jestem zachwycona tą niezapowiedzianą

wizytą, doktorze Armstrong – przywitała go z gniewną miną.

Jonah uznał, że Jacinta wygląda olśniewająco. Mokra włosy wiły się wokół jej twarzy, a z końskiego ogona ściekała po szyi strużka wody. Siłą woli musiał się powstrzymać, aby nie wyciągnąć ręki i nie otrzeć kropli wody z jej skóry.

– Przepraszam. Komórka mi padła – zaczął – a byłem już bardzo niedaleko stąd. To taki impuls – tłumaczył. – Mam obejrzeć dom na sąsiedniej ulicy i pomyślałem, że może zechciałabyś mi towarzyszyć – dodał.

Wiedział, że plecie androny, ale sukienka, którą Jacinta na sobie miała, przylegała do jej ciała niczym druga skóra. A jej nogi...

– Nadal nie jestem zachwycona – powtórzyła Jacinta, lecz tym razem starała się nawet uśmiechnąć.

– Chodzi o właścicielki – brnął dalej. – Patrzą na mnie podejrzliwie, kiedy zjawiam się sam. Potrzebuję przyzwoitki. – Urwał i ponad jej głową zajrzał do holu. – Mogłabyś wziąć ze sobą tę panią, która odebrała telefon – zaproponował.

– To moja macocha – wyjaśniła. – Przyjechała na weekend. Zaraz wychodzimy.

Jonah cofnął się o krok i zmierzył ją spojrzeniem.

– Naprawdę chciałem zadzwonić i spytać, czy mogę wstąpić, ale bateria mi siadła, zanim podeszłaś do telefonu. – Zerknął na zegarek. – Jest dopiero dziewiąta. To nie zabierze ci wiele czasu.

Nie wiedział, dlaczego chce wygrać tę utarczkę, lecz nagle zaczęło mu na tym bardzo zależeć. Sam się

sobie dziwił. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak uparcie o coś zabiegał.

– No dobrze – zgodziła się w końcu.

Nie była uprzejma, lecz najważniejsze, że wygrał. Punkt dla męskiej części gatunku ludzkiego, pomyślał i mimowolnie uśmiechnął się do siebie.

Wszedł za nią do domu. Od razu poczuł panującą tu ciepłą atmosferę, jakże różną od hotelowych wnętrz. Parter tworzył jedno otwarte pomieszczenie urządzone bardzo po kobiecemu ratanowymi meblami i miękkimi sofami. Na niskich stolikach piętrzyły się kolorowe magazyny, a w jednym rogu stała kompozycja roślin doniczkowych, bardzo zaniedbanych. Z niewiadomych powodów wydały mu się wzruszające.

– Widzę, że masz dobrą rękę do kwiatów – zażartował.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie i odparła:

– Tak, to moja mocna strona. – Potem stanęła u podnóża schodów prowadzących na piętro i zawołała: – Noni? Możesz przyjść tu na chwilkę? – Kobieta, która się zjawiała, była drobną blondynką o żywej twarzy i wcale nie przypominała znanej z bajek groźnej macochy. – Doktor Jonah Armstrong przyjechał z Papui-Nowej Gwinei i chce, żebym mu towarzyszyła w oględzinach domu – poinformowała ją Jacinta. – To na sąsiedniej ulicy, więc nie wychodzę na długo.

Noni uśmiechnęła się do niego jak do starego znajomego, i wyciągnęła rękę.

– Miło mi cię poznać, Jonah – rzekła, otaksowała go wzrokiem i serdecznie poklepała go po dłoni.

Jacinta złąkla się, że zaraz zaprosi go na lunch. Ucisnęła macochę i zwracając się do Jonaha, rzuciła:

– Idziemy?

Dom, który zainteresował Jonaha, stał na niezwykle stromym skalnym zboczu, a na każdym skrawku ziemi zieleniła się istna dżungla rozmaitych roślin. Z frontowej werandy i okna w wieżyczce rozciągał się zapierający dech w piersi widok. Wystrój utrzymany był w stylu marynarskim, a poprzedni właściciel zainstalował nawet teleskop. Było to typowe mieszkanie samotnego mężczyzny, a gospodyni, której dociekliwych spojrzeń Jonah tak się obawiał, nigdzie nie było widać.

Przyzwoitka! Dobrze sobie, pomyślała Jacinta z sarkazmem. W pewnej chwili zorientowała się, że Jonah więcej uwagi poświęca jej niż posiadłości, którą podobno zamierzał kupić, i ubawiło ją to. W ogóle świetnie się bawiła. Jonah tryskał humorem, a w samym domu było coś niekonwencjonalnego, co sprawiło, iż zaczęła się zastanawiać, czy nie jest dla niego wprost wymarzony.

Zręczliwy agent oprowadził ich po całej posiadłości. Każdy zakątek krył jakąś niespodziankę. Dom miał być sprzedany wraz z wyposażeniem, co dla kogoś, kto prawie niczego nie posiadał, byłoby idealnym rozwiązaniem.

Całą drogę powrotną Jonah milczał. Jacinta co i rusz zerknęła na jego profil, lecz niczego nie mogła wyczytać z jego twarzy. Dziwnie się czuła, siedząc obok prawie nieznanego mężczyzny, z którym wspólnie oglądali dom do kupienia. Ciekawa była, o czym myśli.

– I jak? – zagadnęła. – Co sądzisz o tym domu?

– Jest w porządku – odparł, nie odwracając głowy. Jacinta zmarszczyła brwi. Wylewny to on nie jest, pomyślała.

– Mówisz, jak gdybyś nie był całkowicie przekonany.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nigdy nie miałem domu. To duże zobowiązanie. Jacinta wzruszyła ramionami.

– Aha, czyli boisz się zobowiązań. Przecież jeśli dojdiesz do wniosku, że nie chcesz tam mieszkać, zawsze możesz go wynająć. Posiadłość taka jak ta będzie tylko zyskiwać na wartości.

Znowu zerknął na nią.

– Mówisz, jakbyś dobrze znała rynek nieruchomości.

Odwróciła głowę. Nie chciała zwierzać mu się ze swojej paranoidealnej potrzeby zabezpieczenia się na przyszłość.

– W dzisiejszych czasach to powszechne.

– Podobał mi się – rzekł Jonah – i dom, i te wszystkie bajery. Ale czy nie wydaje ci się smutne, że ktoś poświęca całe życie na zbudowanie i urządzenie domu, który potem ktoś z ulicy kupuje jak dwa w jednym...

Aha, o to chodzi.

– Ja patrzę na to trochę inaczej – odrzekła. – Właściciel tego domu miał ciekawe i bogate życie. Musiał być nieprzeciętną osobowością i podejrzewam, że wyznawał podobną filozofię życiową co ty. Ucieszyłby się, gdyby wiedział, że jakaś pokrewna dusza

przejmuje jego dorobek, uzupełni go własnymi doświadczeniami i twórczą inwencją.

Jonah zwolnił i spojrzął na Jacintę.

– Skąd kobiety biorą takie pomysły? – spytał.
– Nie zrozum mnie źle, bardzo podoba mi się twoja interpretacja, ale przecież ten facet nie żyje.

– Żyje w tym domu.

– No to zamieszkamy we dwóch – prychnął.

Jacinta nie mogła opanować chichotu. Ta nonsensowna rozmowa szalenie jej się podobała. W ogóle w towarzystwie Jonaha czuła, że odzyskuje wigor.

– Więc jak sądzisz? Powinienem kupić ten dom, mimo że jest nawiedzony?

– Oczywiście. Pokój w wieżyczce jest zupełnie wyjątkowy, a podejrzewam, że mogą tam być jeszcze jakieś tajemne korytarze.

– Wiedziałem, że to powiesz. Ale to tylko dowodzi, że masz rację. Czyli wszyscy troje, nie wyłączając ducha, uważamy, że powinienem kupić ten dom.

– Jeśli jest nawiedzony, przynajmniej gdy wyjedziesz, nie będzie stał pusty.

– To prawda.

Jacinta nie mogła dłużej opanować ciekawości i poprosiła:

– Opowiedz, od jak dawna pracujesz za granicą.

– Od mniej więcej dziesięciu lat należę do organizacji Missions Pacific. Moi rodzice byli lekarzami i dzieciństwo spędziłem w zapomnianych przez Boga i ludzi wioskach w Papui-Nowej Gwinei. Potem razem z siostrą uczyliśmy się w szkole z internatem w Australii. W tamtym czasie Papua nie była tak niestabilna

politycznie jak teraz, ale jeśli przestrzega się pewnych zasad ostrożności, wciąż jest to cudowna kraina.

– Masz ochotę wpaść na kawę? – spytała, gdy skręcił w podjazd prowadzący do jej domu. Nagle zapragnęła spędzić z nim trochę więcej czasu.

Spojrzał na nią z przewrotnym błyskiem w oku.

– Sądziłem, że wybierasz się gdzieś z macochą.

– Możemy odłożyć to do popołudnia.

Dwadzieścia minut później siedzieli we trójce w pokoju na dole, a Jacinta z Noni zafascynowane słuchały, jak Jonah opowiada o odległych wioskach, egzotycznych zwierzętach i pracy w szpitalu, gdzie ciężkie przypadki trzeba leczyć za pomocą najprostszycich środków.

– Czy twoja siostra wciąż jest w Papui? – wyrwało się Jacincie.

– Moja siostra nie żyje. – Umilkł, a jego słowa zawisły w powietrzu. – Ale jest tam pochowana.

Jacinta z przerażeniem uświadomiła sobie, że popelniła straszną gafę.

– Tak mi przykro – wybąkała. Nagle coś, co powiedział jej jeszcze w szpitalu, nabrało nowego znaczenia. – Czy z powodu jej śmierci uważasz, że to zbyt niebezpieczne miejsce, żeby osiedlić się tam z rodziną?

– Między innymi, chociaż Papuańczycy to w większości szczęśliwi ludzie.

– Opowiedz nam o Pudjip. Czy to duży szpital?

Spojrzenie Jonaha stało się dziwnie dalekie.

– Nie, szpital nie jest duży, na sto łóżek, lecz mamy bardzo dużo pracy. Miesięcznie przyjmujemy

czterystu chorych, a ponad cztery tysiące pacjentów leczymy ambulatoryjnie. – Uśmiechnął się do wspomnień, a gdy spojrział na Jacintę, nie dostrzegła już w jego oczach przygnębienia. – Nie są to wyłącznie choroby tropikalne – ciągnął. – Leczymy wszelkie dolegliwości, i nie ma w tym żadnej przesady. Przeciętnie przyjmujemy osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu porodów, przeprowadzamy od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu poważnych operacji, poza tym wykonujemy zabiegi chemioterapii, oraz obejmujemy opieką pediatryczną wszystkie dzieci i świadczymy usługi z zakresu ogólnej opieki zdrowotnej.

Jacinta westchnęła.

– Zawsze fascynowała mnie praca lekarzy w krajach rozwijających się. To takie inne od tego, co robimy tutaj.

Jonah zmarszczył brwi.

– To nie jest miejsce dla kobiet.

– Przykro mi z powodu twojej siostry, ale nie zapominaj, że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku – zachnęła się. – Kobiety mogą wykonywać wszelkie prace na równi z mężczyznami, doktorze Armstrong.

– Zgadzam się, że to może być fascynująca przygoda, doktor McCloud – odparł w tym samym tonie – niemniej kobiety narażone są na szczególne niebezpieczeństwa – dodał, poważniejąc.

– Ale wszystko, co opowiadałeś, brzmiało, jak gdyby tam był raj.

– Warunki życia są prymitywne, w wielu wioskach higiena urąga wszelkim standardom, panuje

lepki upał, a moskity czyhają na każdym kroku, żeby człowieka śmiertelnie ukąsić.

– Ale ty czujesz się tam jak ryba w wodzie. Czyżbyś specjalnie chciał mnie zniechęcić do odwiedzenia Papui-Nowej Gwinei? – spytała zaczepnym tonem.

– Jesteś aż tak poważnie zainteresowana wyjazdem, żebym miał powody do niepokoju?

Jacinta zadarła dumnie głowę i oświadczyła:

– Moje postępowanie to nie twój interes, więc nie ma powodu do niepokoju.

Piorunowali się nawzajem wzrokiem, a Noni w zamysleniu obserwowała ten pojedynek na spojrzenia. Nagle ciszę przerwał dzwonek telefonu.

– Ja odbiorę – rzuciła, wstając. W jej głosie słychać było wyraźną ulgę. – Dzwoni twój ojciec – zawołała z kuchni.

Jacinta podniosła się, Jonah również. Wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

– Dzięki tobie spędziłam bardzo ciekawe przedpołudnie.

Jonah ujął końce jej palców.

– To ja dziękuję, że poszłaś ze mną zobaczyć dom. Do zobaczenia. – Obejrzał się w stronę kuchni i dodał: – Pożegnaj ode mnie Noni.

– Oczywiście – zapewniła i odprowadziła go do drzwi.

Wsiadł do wynajętego samochodu. Był głęboko poruszony. Rozmawiając z Jacintą, miał wrażenie, że znają się od lat. Nie mógł zaprzeczyć, że szalenie mu się spodobała, że go pociąga i widział, że on też nie

jest jej obojętny. Żałował jedynie, że rozbudził jej zainteresowanie Papua-Nową Gwineą.

Pozostawało mu mieć nadzieję, że Jacinta tylko przelotnie zapaliła się do wyjazdu i że skończy się na słowach. Chociaż instynkt mu mówił, że nie żartowała. Widział, jak zmrużyła oczy, jak na niego spojrzała, gdy ostrzegał, że Pudjip to nie miejsce dla kobiet.

Tu, w Sydney, ma dobrą pracę, której tak łatwo nie rzuci, więc jest bezpieczna. Na szczęście, bo jej obecność w Pudjip dwadzieścia cztery godziny na dobę mogłaby bardzo źle wpłynąć na jego równowagę psychiczną. Niemniej teraz bardzo pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o jej przeszłości, rodzinie i o tym, co ją motywuje do życia i pracy.

Postanowił jechać prosto do agenta. Nagle zdecydował, że musi kupić właśnie ten dom, ten i żaden inny. A gdy tylko podpisze stosowne dokumenty, wróci do pracy. Jak na jego gust, Sydney oferuje zbyt wiele atrakcji dla nieżonatego mężczyzny.

ROZDZIAŁ TRZECI

Szalony pomysł, który tak nagle wpadł jej do głowy, przerodził się niemal w obsesję – Jacinta poświęcała teraz każdą wolną chwilę na gromadzenie informacji o Papui-Nowej Gwinei. Na studiach była najlepsza na roku z medycyny tropikalnej, a lepki parny upał nie tylko jej nie odstraszał, lecz wręcz ją pociągał.

Oto znalazła coś, czemu mogłaby się z pasją poświęcić i co przyniosłoby tak potrzebną odmianę w jej życiu. Wmawiała sobie, że jej decyzja ma niewiele wspólnego z osobą doktora Armstronga, chociaż dziwiła się, jak często myśli o ich niedawnej rozmowie. Przyznawała, że jako mężczyzna wzbudził jej zainteresowanie, lecz traktowała owo zauroczenie jak rzecz przelotną. Jest panią siebie i zawsze będzie. Z drugiej strony perspektywa zawarcia bliższej znajomości z Jonahem była całkiem przyjemna...

Najbardziej pociągający w tym wszystkim był jednak aspekt przygody. Po dwunastu latach prowadzenia bardzo ustabilizowanego trybu życia marzyła wprost o zmianie. Odrobina ryzyka nie odstraszała jej, przeciwnie, dodawała smaczku całemu przedsięwzięciu.

W końcu uznała, że posiada wystarczające infor-

macje, aby podjąć świadomą decyzję. Włączyła komputer i wysłała maila do organizacji, której nazwa figurowała na wizytówce Jonaha. Postanowiła, że jeśli Missions Pacific nie zechce jej zatrudnić, skontaktuje się z Lekarzami bez Granic, chociaż gdzieś w podświadomości zakiełkowała myśl, że byłaby rozczarowana, gdyby nie udało jej się znaleźć takiej posady, by mogła pracować razem z Jonahem.

Potem zadzwoniła do Burry. Telefon odebrał ojciec.

– Wiesz, myślę o wyjeździe na pewien czas do Papui-Nowej Gwinei – z miejsca przystąpiła do sprawy.

W słuchawce zaległa dłuższa cisza, lecz gdy Ian McCloud w końcu przemówił, nie starał się odwieść córki od powziętego zamiaru.

– Cóż... Brzmi to, jakbyś zaczynała nowy rozdział w życiu.

– Zawsze mi mówiłeś, że powinnam podróżować.

– To prawda, ale miałem na myśli miejsca o bardziej stabilnej sytuacji politycznej, lecz wiem, że widokowo to piękny kraj. – Urwał, a po chwili dodał: – Mam kilku znajomych w ambasadzie australijskiej w Port Moresby. Czy chciałabyś, żebym do nich zadzwonił, tak na wszelki wypadek, gdybyś tam potrzebowała jakiejś pomocy?

Pocziwy ojczonek.

– Nie sądzę, żebym potrzebowała pomocy, ponieważ będę reprezentowała Missions Pacific, ale jeśli cię to uspokoi, zrób, jak uważasz.

– Zgoda. Skontaktuję się z nimi.

– Dobrze.

Jacinta oczami wyobraźni zobaczyła ojca, wysokiego i przystojnego mężczyznę, teraz z marszem na czołe toczącego wewnętrzną walkę ze sobą, by nie pouczać dorosłej córki, co ma robić. Doskonale go rozumiała, to przecież w dużym stopniu po nim odziedziczyła tę wewnętrzną samokontrolę.

– Co cię tak pociąga w Papui? – spytał w końcu.

– Poznałam pewnego lekarza stamtąd. Pasja, z jaką opowiadał o swojej pracy, sprawiła, że zrozumiałam, że jeszcze nie znalazłam mojego miejsca w życiu. Poza tym, potrzebuję odmiany.

– Jak już, to już. – W głosie ojca pobrzmiwała nuta dumy, a Jacincie do oczu napłynęły łzy wzruszenia. Wiedziała, że boli go, iż tak mało czasu spędza w Burze.

– To bardzo spokojna misja.

– W Papui-Nowej Gwinei raczej trudno o spokój – stwierdził chłodno ojciec. – Ale jestem przekonany, że zapoznałeś się dokładnie z sytuacją. Pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć. Chwileczkę... – Urwał, a w tle słychać teraz było prowadzoną przyciszonym głosem rozmowę. – Noni prosi, żebyś pozdrowiła od niej Jonaha – odezwał się ponownie. – Mówi, że jutro do ciebie zadzwoni.

Cała Noni.

Następnego dnia pocztą elektroniczną przyszło zawiadomienie od Missions Pacific, że bardzo chętnie przyjmą ją w swe szeregi. Jacinta poprosiła o skierowanie jej gdzieś w pobliże szpitala, w którym pracował Jonah. Byłoby szaleństwem jechać w rejony,

gdzie nikogo nie zna, prawda? Ale to jeszcze nie znaczy, że będą pracować razem.

Najbliższy tydzień minął na kompletowaniu garderoby i porządkowaniu domu. Któregoś dnia spotkały się z Noni w połowie drogi do Burry, zjadły razem lunch, a Jacinta przekazała jej pod opiekę swojego kota.

– Ojciec przywyknie do zwierzaka – zapewniała ją macocha, potem obie wybuchnęły głośnym śmiechem. – Miałaś wiadomości od Jonaha? – dorzuciła.

– Posłałam mu maila, ale nie dostałam odpowiedzi. Może jest w terenie, albo coś szwankuje na łączach. Wygląda na to, że często zdarzają się kłopoty.

Noni pokiwała głową i objęła ją.

– Bądź ostrożna. A gdy się spotkasz z Jonahem, zrób, co ci serce podyktuje.

Jacinta ucałowała ją na pożegnanie.

Na lotnisku w Port Moresby, gdy tylko wystawiła głowę z wnętrza samolotu, gorące wilgotne powietrze uderzyło ją w twarz niczym rozgrzany mokry ręcznik. Pocieszała się, że luty jest ostatnim miesiącem tu-tejszego lata i wkrótce może się ochłodzi.

Oprócz upału najsilniejszym zmysłowym wrażeniem była mnogość zapachów unoszących się w powietrzu. Woń bugenwilli mieszała się z ciężkim słodkim aromatem żutego przez tubylców betelu, odorem gnijących roślin oraz swojskiego potu.

Najbardziej na jej wyobraźnię podziałały jednak

jaskrawe światło i intensywna czerwień dominująca w strojach Papuasów. Natomiast soczysta zieleń roślin okalających płytę lotniska sprawiała, że wszystko wokół – nawet samolot – wydawało się szare i zwyczajne.

W budynku terminalu ogromne wiatraki na suficie mieszały ostre zapachy, a Jacinta poczuła, że ogarnia ją podniecenie.

– Doktor McCloud? – zwrócił się do niej ubrany na białą, szeroko uśmiechnięty tragarz, który trzymał dużą kartkę z wypisanym na niej imieniem i nazwiskiem Jacinty. – Jimmy Puk Puk z misji – przedstawił się.

Miał najbielsze zęby, jakie w życiu widziała. Odpowiedziała mu uśmiechem. Gdy wyciągnął lewą rękę po jej bagaż, zobaczyła, że zamiast prawej ma tylko kikut. Zauważył jej spojrzenie i wyjaśnił:

– Jimmy Puk Puk, po naszymu krokodyl. Zabrał mi rękę, ale ja jemu głowę.

Podeszli do bocznego wyjścia, gdzie Jimmy wdał się w długą dyskusję z celnikiem. Chociaż przez ostatni tydzień Jacinta studiowała papuaską odmianę angielszczyzny, ku swojemu rozczarowaniu rozumiała tylko ogólny sens tej rozmowy. Miała jednak nadzieję, że jakoś zdoła się dogadać z chorymi. W końcu mężczyzna wskazał im inne wyjście i z powrotem znaleźli się na płycie lotniska.

Jimmy zaprowadził ją do pokieroszowanego dżipa.

– Samolot do Mount Hagen czeka z drugiej strony lotniska – poinformował, przechodząc na angielski.

Jechał jak wariat, a Jacincie aż palce zbieleły od

kurczowego trzymaniu się drzwi. Makabryczna wizja powrotu do Sydney w podłużnej metalowej skrzyni przyprowadziła ją o dreszcze. Uświadomiła sobie nagle, jak bardzo daleko znalazła się od domu i bezpiecznego życia. Co, u diabła, podkusiło mnie, żeby tutaj przyjechać? I po co?

Medycyna tropikalna zawsze ją interesowała. Opowieści Jonaha – mimo towarzyszących im ostrzeżeń – obudziły w niej zamiłowanie do przygód. A może przyjechała z przekory? Jonah robił przecież wszystko, by ją zniechęcić.

Nie zdążyła posunąć się zbyt daleko w analizowaniu swych motywów, gdyż Jimmy gwałtownie skręcił ku małemu biało-czerwonemu samolotowi stojącemu pod drzewem. Szkoda, że wykonując ten manewr, zahaczył kołem o postawiony na ziemi kosz z kurczakami. Bezzębna właścicielka kosza, która wyskoczyła spod skrzydła maszyny i zaczęła łapać uciekające ptaki, obrzuciła Jimmy'ego przekleństwami. Jacincie też się dostało.

– Kakuruk bugga up!

Jimmy skwitował jej pretensje uśmiechem.

– Mówi, że kurak kaput – przetłumaczył.

Jacinta na drżących nogach wysiadła z dżipa i zaczęła otrząpywać się z kurzu. Spojrzała na kobietę i jej koszyk. Jeden ptak był martwy – już nie będzie znosić jajek. Kobieta przymocowała go sobie rzemieniem do paska. Nietrudno było zgadnąć, co jej rodzina będzie dziś jadła na kolację. Tymczasem zza ogona maszyny wyłonił się ponury mężczyzna w średnim wieku, otarł dłoń o spodnie i wyciągnął rękę do Jacinty.

– To pani jest tą lekarką, którą mam zabrać do Hagen, tak? – spytał z silnym szkockim akcentem, który bardzo dziwnie zabrzmiał w tym parującym od gorąca otoczeniu.

– Jacinta McCloud. Czekał pan na mnie?

– Tak. Dobrze, że pani już jest, bo chciałbym wystartować, zanim zerwie się silniejszy wiatr. Tędy, proszę – dodał. Wziął jej walizkę i torbę i wcisnął za fotele, potem sięgnął jeszcze po koszyk z drobiem i ustawił go na wierzchu. – Wskakuj, Mimi – zwrócił się do kobiety, która niechętnie wsiadła pierwsza. – Mimi miała operację i wraca do domu – wyjaśnił.

Jacinta kiwnęła głową i uśmiechnęła się do towarzyszki podróży, która patrzyła na nią urażonym wzrokiem.

Cudownie, pomyślała Jacinta. Właśnie zyskałam pierwszego wroga. Wsiadła do samolotu i pomachała Jimmy’emu na pożegnanie. Mężczyzna uśmiechnął się wesoło i zawołał:

– Pan McTash bardzo doświadczony pilot! Nie trzeba się bać! On już tyle razy lądował awaryjnie!

Gdy wznieśli się w powietrze, Jacinta pochyliła się ku pilotowi, by mógł ją dosłyszeć, i spytała:

– Długo się leci do Hagen?

– Long way lik lik, jak mówią tubylcy. To znaczy ani długo, ani krótko.

Aha. Odchyliła się na oparcie fotela i na chwilę przymknęła powieki. Żałowała, że nie poświęciła więcej czasu na studiowanie „Rozmówek krajów Oceanii”.

Widoki z okna samolotu były wspaniałe. Lot

przebiegał spokojnie, tylko Mimi panikowała za każdym razem, gdy samolot wpadał w turbulencje. Jej okrzykiem towarzyszyło nerwowe gdakanie z koszyka. W końcu Jacinta wzięła kobietę za rękę.

– Nie martw się, Mimi – przemówiła, ściskając jej dłoń. – Już niedługo będziemy na miejscu.

Co prawda nie wiedziała, czy chce dodać otuchy kobiecie, czy raczej sobie samej. Niemniej Mimi trochę się uspokoiła. Gdy samolot podszedł do lądowania na niezwykle krótkim jak na gust Jacinty pasie, pragnęła paść na kolana i ucałować ziemię.

To był strasznie długi dzień.

Gdy chwilę później ciągnęła swój bagaż do hali przylotów, miała nadzieję, że kolejny „Jimmy” będzie bardziej zrównoważonym kierowcą.

Na widok znajomej sylwetki majaczącej w cieniu budynku zwolniła kroku. Musiała przyznać, że w duchu liczyła na to, iż Jonah osobiście po nią wyjedzie. I tak się stało.

Jego skóra wciąż miała żółtawy odcień po przebytej chorobie, lecz gdy sięgnął po walizkę, uniósł ją bez trudu, jak piórko.

– Jaki świat jest mały – rzucił oschłym tonem, nie pozostawiającym wątpliwości, że nie ucieszył się z jej przyjazdu. Z jego oczu trudno było wyczytać, co myśli.

Na próżno też czekała na uśmiech. Nieprzyjemnie ścisnęło ją w dołku.

– Za mały dla nas obojga?

– Ludzie bogaci miewają dziwaczne zachcianki. Mam tylko nadzieję, że potrafisz obejść się bez wygod.

Słyszając to, Jacinta przypomniała sobie brud i nędzę, w jakiej mieszkały z matką.

– Sądzę, że dam sobie radę – odparła.

Zauważył, że przy tej odpowiedzi Jacinta dumnie podniosła głowę, i poczuł ukłucie w sercu. To nie jest dobry znak. Na początku tygodnia, gdy dowiedział się, kim jest nowa lekarka wolontariuszka, wpadł we wściekłość. Potem trochę ochłonął i zaczął opracowywać precyzyjny plan, jak skłonić ją do powrotu.

Rozpatrywał i odrzucał rozmaite pomysły, między innymi odwołanie się do jej rozsądku, przestraszenie budzącymi grozę faktami, obarczenie pracą ponad siły. Potem wpadło mu do głowy najprostsze wyjście – wsadzi ją z powrotem do samolotu, którym przyleciała. Jednak mimo że bardzo mało znał Jacintę, obawiał się, że żadne z tych rozwiązań nie przyniesie zamierzonego skutku.

Próbował znowu przybrać stanowczą pozę i spojrział na nią z góry, jak dreptała przy nim, usiłując dotrzymać mu kroku. Nie chciał, aby przyjeżdżała, ale teraz nie chciał też, żeby odjechała. Już samo patrzenie na nią sprawiało mu radość. Zmarszczyła brwi, co świadczyło o jej determinacji, jak gdyby wciągnęła flagę na maszt. Uśmiech zniknął z twarzy Jonaha, gdy pomyślał, że właściwie cieszy się z jej przyjazdu.

– Chciałem odesłać cię z powrotem – burknął.
– Niestety, mojego asystenta powalił atak tej samej malarii co mnie, i musiałem przetransportować go na kontynent. Podzielimy się jego obowiązkami. Zostaniesz na okres, na jaki podpisałaś kontrakt. To

obejmuje wyprawę w rejony rzeki Sepik. Będę ci towarzyszył. – Urwał i rzucił jej szybkie spojrzenie. – Jeśli zażywasz doksycyklinę, radzę zmienić lek, ponieważ tam występuje szczep zarodźca malarii, na który ten środek nie działa. Ludzie padają jak muchy. Chociaż w Pudjip sytuacja nie jest aż taka groźna.

Wzdrygnął się na myśl o tym, że Jacinta mogłaby zachorować równie ciężko jak James, ponieważ wiedział, że są bezsilni wobec tej groźnej choroby.

– Mam nadzieję, że zabrałaś środek odstraszający komary i bluzki z długimi rękawami – dodał. – Jeśli cię przyłapię w krótkich rękawkach po zmroku, osobiście cię ubiorę.

Jacintę ogarnęło przykre rozczarowanie. Najwyraźniej się pomyliła – nigdy się Jonahowi nie podobała. W jego zachowaniu nie dostrzegła nawet cienia owego człowieka pełnego wewnętrznego ciepła i poczucia humoru, którego zapamiętała z Sydney.

Co za gbur! Jego arogancja przekracza wszelkie granice! W Sydney nic nie wskazywało na ukryte dyktatorskie zapędy. Właściwie nawet się ze mną nie przywitał, i cały czas patrzy na mnie z nienawiścią! Nie z nią takie numery! Za nic nie chciała pokazać po sobie, jak bardzo ją zawiódł.

– Na własnym terenie zachowujesz się niczym półbóg – zaczęła słodkim głosem.

– Zmusza mnie do tego poczucie odpowiedzialności – odparł. – Nie lubię wysyłać ludzi do domu w drewnianych skrzyniach.

Jego słowa przypomniały jej własne obawy, toteż Jacinta zaczęła podejrzewać, że Jonah może aż tak

bardzo nie przesadził, ostrzegając ją o rozmaitych niebezpieczeństwach. Pocieszające było natomiast to, że prowadził znacznie lepiej niż Jimmy, chociaż uważała, że po autostradzie pędził z nadmierną szybkością.

W ciągu ponaddwugodzinnej jazdy mało się do siebie odzywali i zanim tuż przed zachodem słońca dotarli na miejsce, Jacinta postanowiła przyjąć narzucone jej przez Jonaha reguły gry i zachowywać się w stosunku do niego z dystansem. I jak najszybciej włożyć koszulę z długim rękawem, by nie prowokować kolejnej dyskusji.

W milczeniu dała się zaprowadzić do chat za szpitalem. Ta, którą jej przydzielono, miała opatrzone żaluzjami i dodatkowo zabezpieczone siatką okna oraz bardzo skromne umeblowanie. W jednym rogu urządzono maleńką kuchenkę z piecykiem, lodówką i tosterem, a pod przeciwległą ścianą stało osłonięte moskitierą wąskie łóżko, na którym leżał złożony koc i cienkie prześcieradło. Poza tym w pokoju znajdowała się jeszcze stara ławka szkolna, a na niej aparat telefoniczny.

– Masz apartament z łazienką. – Jonah wskazał miskę i dzbanek z wodą. – Toaleta jest koedukacyjna i znajduje się za rogiem, obok pralni. Zanim otworzysz drzwi, mocno zapukaj. I zawsze pamiętaj zamknąć się od środka.

– Dam sobie radę – obiecała, potem przechyliła lekko głowę na bok i spytała: – Dlaczego to miejsce jest mniej niebezpieczne dla ciebie niż dla mnie, pomijając fakt, że jestem kobietą?

– I nie licząc tego, że odbyłem służbę w wojsku jako chirurg, że tu się wychowałem oraz że nie podobam się chłopcom. Jeśli pominąć to wszystko, to nie widzę powodu, dlaczego miałbym czuć się bezpieczniejszym niż ty.

Jacinta zastanawiała się, kiedy Jonah wyzbędzie się wobec niej tego kąśliwego tonu, kiedy ochłonie z wrażenia, że przyjechała. Zaciśnęła wargi i kiwając głową, odrzekła:

– Przepraszam, zadaję głupie pytania.

– Racja. Za dziesięć minut czekam na ciebie przed wejściem do szpitala. Umyj się i... – urwał i spojrzał znacząco na jej nagie ramiona – i przebierz.

Siłą woli powstrzymała się od komentarza. No tak, pomyślała, chce wzbudzić we mnie poczucie winy.

Dokładnie dziesięć minut później, ubrana w koszulę z długimi rękawami i spryskana płynem odstraszającym komary, stawiała się przed głównym wejściem do parterowego budynku, w którym mieścił się szpital. Jonah już na nią czekał.

– Oprowadzę cię i wszystkim przedstawię.

Pchnął drzwi i przepuścił ją przodem. Jacinta spojrzała na wiatraki wolno obracające się pod sufitem. Dzięki nim w szpitalu było zaskakująco chłodno. Podeszli do prostego drewnianego biurka, za którym siedziała pielęgniarka. Miała najczarniejszą skórę, jaką Jacinta widziała, a włosy zaczesane wysoko i spięte klamrą z kości.

– To jest Carla, nasza siostra oddziałowa. Pomoże ci przyjmować pacjentów w ambulatorium.

Carla uśmiechnęła się nieśmiało.

– Witamy w naszym szpitalu, pani doktor – rzekła, wstała i dołączyła do nich.

Przez boczne drzwi wszedł kilkunastoletni chłopak, niosąc dzbanek wody. Jonah zatrzymał go i przedstawił:

– To Jay, sanitariusz.

– Witaj, Jay. – Jacinta uśmiechnęła się do chłopca, lecz on, speszony, odwrócił głowę.

Na schodach spotkali wysokiego blondyna ubranego w strój chirurga.

– Doktor Chuck Ford przyjechał na cztery miesiące i już niedługo nas opuszcza – poinformował Jonah i dodał: – Chuck to istny gejzer energii.

Chuck uśmiechnął się i wyciągnął do Jacinty rękę.

– Witaj w Pudjip – rzekł, potem odwrócił się do Jonaha i zakomunikował: – Skończyliśmy wcześniej, więc idę na porodówkę sprawdzić, co się tam dzieje.

– Czy nie imponuje ci ten entuzjazm młodości? – Jonah mruknął pod nosem.

Skąd u niego tyle cynizmu, zdziwiła się Jacinta w duchu, lecz postanowiła, że później się nad tym zastanowi.

– Przez pierwszy tydzień – informował – będziesz ćwiczyć się w języku tu na miejscu, w Pudjip, badać chorych, notować symptomy. Większość informacji będzie w pidżynie. Gdy zaczniesz się nim swobodnie posługiwać, od razu będzie ci łatwiej. Najtrudniej pogodzić się z tym, że w leczeniu nie dysponujemy tyloma środkami co na kontynencie. Musisz nauczyć się, co jest dostępne, a co nie, i dostosowywać leczenie do możliwości. W następnym tygodniu rozpoczniesz

dyżury tutaj, żeby zapoznać się z najczęściej występującymi chorobami.

Urwał, a Jacinta kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Jeśli się sprawdzisz, będziesz mi towarzyszyć podczas następnej ekspedycji w teren. Takie wyprawy trwają zazwyczaj dziesięć dni. Całą ekipą udajemy się do bardzo odległych rejonów. Przyjechałaś na osiem tygodni, tak? – spytał, patrząc jej w twarz. – To znaczy, że następne dwa miesiące będziemy skazani na siebie – stwierdził z sardonicznym uśmiechem.

Nie dała się sprowokować. Masz, czego chciałaś, pomyślała. Obejmując wzrokiem rzędy łóżek, zapytała:

– Ilu macie obecnie pacjentów?

Jeśli czuł się zawiedziony, że ani słowem nie skomentowała perspektywy spędzenia tak długiego czasu w jego towarzystwie, nie dał tego po sobie poznać.

– Około osiemdziesięciu – odparł – lecz podczas epidemii wietrznej ospy było ponad stu.

Nagle któryś zawołał Carłę i dalej już szli sami.

– Mam nadzieję, że podczas mojego pobytu nie wybuchnie żadna epidemia – odezwała się Jacinta.

– Ja też – odparł sucho. – Zbyt wielu chorych nie udaje nam się ocalić. – Wstrząśnięta spojrzała na niego, a widząc w jej oczach współczucie, potarł dłonią tył głowy, zmienił ton i spytał: – Dlaczego przyjechałaś?

– Bo mogę się na coś przydać.

Ponownie przesunął dłonią po włosach. Może boli go głowa, zaniepokoiła się. Nie, nie, to tylko szok wywołany moim przyjazdem. Na tę myśl uśmiechnęła się do siebie. A więc jest zrzęda, nie dyktatorem. To mogę mu wybaczyć.

– Ponieważ medycyna tropikalna zawsze mnie interesowała – ciągnęła. – Ponieważ mam coś do zaoferowania i mogę poświęcić trochę pieniędzy i czasu, żeby to zrealizować. Jakie masz prawo odtrącać tego rodzaju pomoc?

Dotknęła sedna sprawy.

– Żadnego. Potrzebujemy ludzi takich jak ty. Mam nadzieję, że już zrozumiałaś, że pobyt tutaj to nie przygoda. Rzecz w tym, że osobiście wołałbym, żebyś nie przyjeżdżała.

– Dzięki za szczerość. Takie odniosłam wrażenie na lotnisku.

Jonah roześmiał się niewesoło.

– Wrażenia bywają zwodnicze. Gdybyśmy znajdowali się w Sydney, byłbym uszczęśliwiony, że cię widzę. Miło na tobie oko zatrzymać...

– Boże! Czyżby to miał być komplement? Chyba zemdleję!

– Tylko nie teraz. Dopiero na koniec.

Nie mógł oderwać od niej oczu. To było silniejsze od niego. Po co się denerwuję, skoro ona sama postanowiła, że da sobie radę w takim miejscu? Nie mój problem. Wiedział jednak, że gdyby cokolwiek złego jej się stało, to byłby jego problem. I właśnie tego najbardziej się obawiał.

Jej doskonale skrojone spodnie i bluzka z długimi

rękawami były luźne i przewiewne, lecz na tyle dopasowane, że uwydatniały pełną figurę. I tu leży pies pogrzebany. Jacinta jest bardzo pełną kobietą.

Pewnie kupiła stroje w jakimś sklepie internetowym dla bogatych japiszonów, bo chociaż bardzo funkcjonalne, zwracały uwagę doskonałym krojem i jakością. Ech, westchnął w duchu, kaprysy bogatych. Miał nadzieję, że żaden szubrawiec nie wpadnie na pomysł porwania białej lekarki dla okupu.

Jak się dostosuje do prymitywnych warunków życia, dopiero się okaże, lecz musiał przyznać, że dotąd nie zrobiła żadnej krytycznej uwagi na temat tego, co zobaczyła. Włosy miała związane w ciasny kok, by nie grzały jej w szyję. Fryzura odsłaniała łagodną linię karku, na widok której obudziły się w nim uczucia opiekuńcze. A sposób, w jaki unosiła te swoje wspaniałe brwi za każdym razem, kiedy na nią warknął, rozczulał go.

Muszę uważać, żeby się zbyt nie przyzwyczaić do jej towarzystwa, pomyślał. Z drugiej strony mogą to być bardzo ciekawe dwa miesiące, o ile uda mi się uchronić ją przed niebezpieczeństwami tego kraju. I przed sobą samym.

Następne kilka dni przerosły jej wszelkie oczekiwania. Chorzy zgłaszający się do ambulatorium mówili tak różnymi dialektami, że mimo podjętych przed wyjazdem wysiłków opanowania miejscowego języka, radziła sobie z ogromnym trudem. Robiła jednak postępy – piątego dnia potrafiła już samodziel-

nie uzyskać od tubylców najważniejsze informacje, chociaż wciąż pomagała sobie rękami.

Pewnego razu, po pół godzinie prób porozumienia się ze starszą kobietą uskarżającą się na bóle w dole brzucha, musiała poprosić o pomoc Jonaha. W mig stwierdził, że Papuaska sądzi, iż połknęła kość od kurczaka i że czuje ją w brzuchu.

– Nie wierzę, że właśnie to usiłowała mi wytłumaczyć – obruszyła się Jacinta.

– Musisz zrozumieć – tłumaczył – że zaledwie jeden do dwóch procent ludności posługuje się angielskim. Pidżyn jest bardzo rozpowszechniony, ale w Papui jest siedemset piętnaście samoistnych języków, które się z nim mieszają. Teraz możesz sobie wyobrazić, jak ciężko jest rządowi dotrzeć ze swoim programem do chociaż połowy mieszkańców. – Humor jej się poprawił, gdy pochwalił ją: – Wyśmienicie dajesz sobie radę.

Zdażyła zaobserwować, że nie należał do osób szafujących pochwałami, dlatego zachowała jego słowa w sercu i jeszcze wieczorem powtarzała je sobie przed zaśnięciem.

Sześć godzin później, gdy zakończyli dyżur, personel lekarski spotkał się na wspólnej kolacji, a potem światła na całym terenie powoli zaczęły gasnąć. Jacinta wyszła przed swoją chatę i oparta o framugę drzwi rozmyślała o tym, że pod pewnymi względami życie w tej wiosce wcale nie jest aż tak prymitywne, jak się obawiała.

Był telefon, Jonah załatwił dla niej dostęp do Inter-

netu, tak że mogła porozumieć się z Noni i ojcem, oczywiście jeśli linia telefoniczna nie była zerwana, co się często zdarzało.

Pod innymi względami natomiast życie tutaj było bardziej prymitywne, niż sobie w najgorszych przewidywaniach wyobrażała. Dla Papuańczyków śmierć spowodowana chorobą lub w wyniku przemocy albo tragicznego wypadku była smutną rzeczywistością. Ku jej zdumieniu czuła bardzo bliską więź z ludźmi, których tu poznała. Zachwycaly ją nieśmiałe uśmiechy i śpiew kobiet przy pracy, szczęśliwe dzieci – miejscowe bawiące się razem z dziećmi rodzin z misji – barwne stroje. Serce jej krwawiło, gdy widziała, z jakim stoickim spokojem przyjmowali wyroki losu, gdy przybywali do szpitala w zbyt zaawansowanym stadium choroby.

– Nie powinnaś wychodzić po zmroku!

Odwróciła się zaskoczona.

– Wcale nie słyszałam, że się zbliżasz.

– W porównaniu z niektórymi tubylcami poruszam się niczym słoń w składzie porcelany – odparł Jonah. – I dlatego nie powinnaś stać tu sama w ciemności. Na noc musisz się zamykać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Przepraszam – wybąkała i cofnęła się do środka.

W ciągu tych kilku dni pobytu nasłuchiwała się tyle okropnych historii, że teraz już wierzyła, iż Jonah naprawdę martwi się o jej bezpieczeństwo.

– Masz rację, ale wieczór jest taki piękny, szczególnie po dzisiejszym deszczu, że potrzeba zaczerpnięcia świeżego powietrza zwyciężyła. Wybierasz się na spacer?

Jonah westchnął i opowiedział:

– Na krótki. Jeśli chcesz, możesz iść ze mną.

Jego ton nie był aż tak entuzjastyczny, jak by pragnęła, lecz propozycja spędzenia nawet krótkiego czasu poza chatą była zbyt kusząca, by się dąsać.

Gdy ruszyli, Jonah wziął ją za rękę.

– Trudno za tobą trafić – mruknęła pod nosem i potrząsnęła ręką, by pokazać, co ma na myśli.

Jonah spojrział na ich złączone dłonie.

– To tylko po to, żebyś mi nigdzie nie odeszła – odrzekł i uściśnął jej palce. – Przynajmniej mam jakąś kontrolę nad zagrożeniem, bo mogę cię w każdej chwili przyciągnąć do siebie. – W jego głosie pobrzmiwała nuta rozbawienia, która przypomniała jej ich przekomarzania w Sydney.

– A mnie się wydawało, że po prostu chcesz mnie potrzymać za rękę.

– To też.

Teraz już naprawdę przestała cokolwiek rozumieć. Przerazało ją, w jaki sposób słowem czy dotykiem Jonah potrafi wzbudzić w niej tyle emocji. Czy on zdaje sobie z tego sprawę?

– A dlaczego?

– Bo to bardzo ładna ręka – odparł i podniósł jej dłoń do oczu. Potem nakrył jej dłoń swoją i ciągnął: – Masz szczupłe palce, paznokcie nie za długie, trochę szorstkie od ciągłego mycia, jak u wszystkich lekarzy, ale w ogóle to twoja ręka doskonale pasuje do mojej.

Szli kawałek w milczeniu. Powietrze zdawało się wibrować od fluidów krążących między nimi.

– Dziękuję szanownemu panu za skrótowy opis mojej dłoni – rzekła swobodnym tonem, chociaż czuła, że zaczyna jej brakować tchu.

– Jesteś strasznie drażliwa – burknął.

– Peszysz mnie.

– Twoja szczerość jest rozbrajająca. To jeszcze jedna cecha, za którą tak cię lubię.

Jacinta zmieszała się. Było wiele rzeczy, których Jonah o niej nie wiedział. Zmieniając temat, spytała:

– Kupiłeś ten dom, który wspólnie oglądaliśmy?

– Tak – odparł. – Mój adwokat przysłał mi wczoraj maila. Wszystkie formalności zostały pomyślnie zakończone i po raz pierwszy w życiu jestem posiadaczem nieruchomości.

– Cieszysz się?

– Trudno powiedzieć. – Wzruszył ramionami.

– To takie dziwne uczucie. Nareszcie stałem się dużym chłopcem.

– Tylko już więcej nie rośnij, bo się nie zmieścisz w drzwiach – zażartowała.

– Przeszkadza ci, że jestem taki wysoki?

– Pocałuj mnie, to ci odpowiem – wyrwało jej się.

– Z przyjemnością.

Teraz już wiedziała, że i on czuje narastające między nimi napięcie. Pochylił się, delikatnie dotknął wargami jej warg. Jacinta westchnęła i objęła go za szyję, a wtedy pocałunek stał się gorętszy. Dłonie Jonaha na jej plecach zsunęły się niżej, zatrzymały na biodrach. Wtedy przyciągnął ją do siebie i lekko uniósł. Nie wiedziała, czy to utrata gruntu pod nogami, czy coraz bardziej namiętny pocałunek sprawiły, że poczuła się, jak gdyby urosły jej skrzydła. Pragnęła, by ta chwila trwała w nieskończoność.

Jonah zaś wiedział, że stało się dokładnie to, czego się obawiał. Od pierwszej chwili, gdy ujrzał ją w szpitalu w Pickford, przeczuwał, że ta kobieta wprowadzi zamęt w jego uporządkowane życie. Stłumił w sobie jęk rozkoszy.

Muszą przestać. Powoli oderwał się od jej warg, postawił Jacintę z powrotem na ziemi i wypuścił z objęć. Zachwiała się, jak gdyby miała upaść. Podtrzymał ją.

– Twój wzrost mi nie przeszkadza – przemówiła rozmarzonym głosem.

W świetle księżycy spojrzął na jej zaróżowioną twarz. Siłą woli powstrzymał się, by nie porwać jej znowu w ramiona. W głowie miał tylko jedną myśl

– wziąć Jacintę na ręce i zanieść do swojej chaty. Głos rozsądku podpowiadał jednak wszystkie powody, z których nie wolno mu było tego zrobić. Musi coś powiedzieć, cokolwiek.

– Podziwiam, z jaką łatwością dajesz sobie radę w tych prymitywnych warunkach – odezwał się z wysiłkiem.

Jacinta puściła jego dłoń i odsunęła się o krok.

– Dlaczego?

– Błyskawicznie się zaadaptowałaś, a przecież przywykłaś do komfortu.

– Nie traktuj mnie tak protekcyjnie. Nic nie wiesz o moim życiu, więc nie sądz po pozorach.

Jonah przystanął. Zrobiło mu się przykro, że ją uraził. Z drugiej strony, może to lepiej, żeby między nimi powrócił pewien dystans, pomyślał.

– Przepraszam. – Urwał, podniósł oczy na rozgwieżdżone niebo, jak gdyby tam szukał natchnienia, jak naprawić błąd. – Wyjaśnij mi więc, dlaczego tak świetnie udało ci się przystosować.

Jacinta rzuciła mu baczne spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Czyżbym był dla niej aż tak nieprzyjemny?

– Mówię poważnie. Chciałbym się dowiedzieć.

Gdy ruszyli, Jonah znowu wziął ją za rękę. Z początku nawet się opierała, potem przestała. Ciepło jej dłoni miało magiczną moc przenikania aż do jego serca. Tak samo jak jej słowa, gdy zaczęła swoją opowieść.

– Matka wychowywała mnie sama. Z ogromnym trudem wiązała koniec z końcem. Była bardzo dzielna. Podziwiam ją za to.

– To musiał być ciężki okres w twoim życiu.

– Jeszcze cięższy dla niej. Nie powiedziała ojcu o moim istnieniu. To był jej świadomy wybór. – Umilkła, a po chwili w ciemności znowu zabrzmiał jej głos: – Kiedy umarła, uciekłam od jej partnera i skończyłam w komunie squattersów. Tamtejsze warunki niewiele różniły się od tych tu – zatoczyła ręką szerokie koło – w Pudjip. A pod pewnymi względami były o wiele gorsze.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Szesnaście. – Na myśl o tym, co wycierpiała, Jonaha przeszedł dreszcz. – Związałam się z jednym chłopakiem, zaszałam w ciążę. W tym samym czasie ojciec jakoś się o mnie dowiedział, odnalazł mnie i zabrał stamtąd.

– Spotkanie z nim musiało być dla ciebie wstrząsem.

– Och tak. Długo trwało, zanim uwierzyłam, że znowu mnie nie porzuci. Bo zdążyłam się nauczyć, że na mężczyznach nie można polegać. – Urwała, a po chwili ciągnęła już radośniejszym głosem: – Ojciec miał anielską cierpliwość do opryskliwej, zbuntowanej nastolatki. Wspierał mnie, gdy sprawy zaczęły się komplikować, i pomógł mi stanąć na nogi. Noni i tata byli ze mną, kiedy... – głos jej się załamał – kiedy moje dziecko zmarło. A teraz oni mają swoje życie, a ja swoje – dodała już spokojniejszym tonem.

Jonahowi serce się ścisnęło. Jako lekarz, który na co dzień ociera się o choroby i śmierć, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, ile Jacinta wycierpiała.

– Tak mi przykro – rzekł. – Dlaczego twoje dziecko zmarło?

– Oliwia miała wrodzoną wadę serca. Nieuleczalną. Żyła tylko cztery tygodnie, lecz wniosła w nasze życie niezapomniane piękno i siłę.

Jonah potrafił sobie wyobrazić ból matki. Przecież przeżył utratę Melindy. Zapraagnął objąć Jacintę, przytulić i chronić przed podobnymi tragicznymi doświadczeniami w przyszłości. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Tak samo jak niemożliwe jest zagwarantowanie jej bezpieczeństwa.

Nagle Jacinta zrobiła coś dziwnego. Stała, uniosła nogę, podwinęła nogawkę spodni. Spojrzał na jej kostkę i zobaczył złoto-zielony tatuaż.

– To mój motylek – oznajmiła. – Na pamiątkę Oliwii. Ty też masz motylka – dotknęła pierścionka na jego palcu – na pamiątkę siostry.

Na dźwięk tych słów powróciły wspomnienia, strach i przerażenie, które tłumił w sobie od czasu zniknięcia i śmierci Melindy. Wszystko by oddał za to, by Jacinta była teraz bezpieczna w Sydney.

Żałował, że opowiedziała mu tyle o sobie, ponieważ przez to stała się mu jeszcze bliższa. Oboje ukształtowały tragiczne przeżycia i nie wątpił, że strata dziecka uczyniła Jacintę silniejszą. Był coraz bardziej nią zauroczony, a to nie było dla niego dobre.

– Przestańmy rozmawiać i posłuchajmy odgłosów nocy – szepnął i spojrzął na gwiazdy. – Tego mi właśnie brakuje, gdy jestem w mieście, tej muzyki.

Jacinta zastanawiała się, o czym Jonah myśli i dlaczego raz zachowuje się wobec niej tak, innym

razem inaczej. Zastanawiała się też, dlaczego powiedziała mu o sobie więcej niż komukolwiek innemu z wyjątkiem ojca i Noni.

Wsluchiwała się w bzyczenia, buczenia i brzęczenia owadów, rechot żab, szum listowia poruszanego przez skradające się zwierzęta, krzyki ptaków. Sama bałaby się tu przebywać, lecz u boku Jonaha czuła się bezpieczna. Zza korony rozłożystego drzewa wyszedł księżyc i oświetlił ścieżkę.

– Jak tu pięknie – westchnęła.

Jonah ścisnął jej dłoń, po czym odpowiedział:

– Tak. Noc jest piękna, ale i niebezpieczna. – Puścił jej rękę. Nagle poczuła się bezradna i bezbronna. – Tak samo jak ty – dodał.

Pierścionek z motylkiem zabłysnął na jego palcu, gdy przeczesywał włosy. W jego następnych słowach pobrzmiwał ten sam surowy ton, jakim przemawiał do niej na lotnisku.

– Proszę, pamiętaj, że kobiety nie powinny same poruszać się po terenie szpitala po zmroku, a w ciągu dnia wychodzić poza bramę.

Jacinta miała już tego trochę dość. Niech da wreszcie spokój. Psuje tylko nastrój.

– Kraczesz i kraczesz.

– Znałem kobietę, która wyszła i nie wróciła – odrzekł, już ostatecznie psując nastrój. – Złamała reguły. Nie chciałbym, żeby ciebie spotkał ten sam los.

Następnego dnia o wschodzie słońca na prowizorycznych noszach przyniesiono do szpitala młodą kobietę. Napadnięta przez grupę miejscowych

wyrostków doznała licznych oparzeń i była bliska śmierci.

Wspólnie z Jonahem i Carlą opatrzyli i obandażowali ofiarę. Mimo że wiedzieli, iż nie zdołają jej uratować, podali jej kroplówkę z płynami ustrojowymi i morfiną, by ulżyć jej cierpieniom. Gdy tuż przed przerwą na lunch kobieta zmarła, Jacintę ogarnęło przerażenie i żądza zemsty. Gdyby tylko dostała tych bandytów w swoje ręce...

– Nie idź tam – usłyszała za plecami głos Jonaha.

Stała na werandzie na tyłach budynku szpitalnego i w bezsilnej złości zaciskała dłonie na balustradzie. Drgnęła, odwróciła się, a on palcami otarł łzy z jej policzków, potem objął ją i przyciągnął do siebie. Pozwolił jej się wypłakać, potem zaczął ją głaskać po włosach i tłumaczyć:

– Tu jest całkiem inny świat. W ostatnich latach przestępczość spadła, niemniej potworne zbrodnie, takie jak ta, wciąż się zdarzają. Sprawiedliwość jednak dosięgnie oprawców. Tubylcy bywają okrutni, ale szlachetność zwycięża.

Jacinta podniosła na niego wzrok.

– Naprawdę wierzysz, że zwycięży?

– Muszę. Wierzę, że nasza praca ma sens i nie zamierzam rezygnować z tego, co dobre z powodu tego, co złe.

Jacinta wzięła głęboki oddech, rękawem otarła oczy.

– Dzisiejsza tragedia rzuca ponure światło na moją przygodę.

Jonah objął ją mocno, a gdy puścił, rzekł:

– Mógłbym powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

– Widząc, że zeszywniała, dodał: – Tutaj człowiek szybko wyzbywa się złudzeń. W złe dni czuję się tak przytłoczony ogromem zadań, którym nie mogę sprostać, że zapominam o sukcesach. Potem, gdy je sobie uświadomię, wstępują we mnie nowe siły. Pewien mądry człowiek tak określił naszą pracę: jesteśmy przyciśnięci do muru, ale nie tracimy nadziei. – Odwrócił się i lekko pchnął Jacintę w stronę drzwi. – Zawsze to sobie przypominam, kiedy wpadam w taki nastrój, jak ty teraz. – Ponownie ją popchnął i dodał: – Małemu Picie trzeba założyć wenflon. Czas podać mu kolejną chemioterapię. Nie bój się, nie płacz, kiedy wbijas mu igłę. Potem zrobimy obchód, bo rano nie zdążyliśmy.

Praca, jak zwykle, jest najlepszą terapią.

Pięcioletni Pita cierpiał na białaczkę. Leczenie przynosiło rezultaty, prognozy były coraz bardziej optymistyczne. Pierwszego dnia pracy Jacinta widziała go w stanie niemal agonalnym. Po pięciu dniach jadł już normalnie, a nawet śmiał się z jej nieporadnych prób opowiedzenia mu żartobliwej historyjki w pidżynie.

Gdy weszła do sali, stał koło swojego łóżka.

– *Me canna* – pochwalił się, co znaczyło: potrafię. Jacinta objęła go i przytuliła.

– Świetnie, kochanie. Potrafisz sam wstać. Jesteś silnym chłopcem.

Pochylając się nad malcem, uświadomiła sobie, że Jonah miał rację. Są potrzebni.

Przez resztę dnia bacznie obserwowała pracę Jonaha. Jeśli to było możliwe, sam przeprowadzał za-

biegi. Chorym, którzy nie kwalifikowali się do operacji, poświęcał więcej czasu. Za każdym razem, gdy przechodził przez oddział, przysiadł na chwilę przy ich łózkach.

Tego dnia poranny dyżur w ambulatorium został przesunięty na popołudnie. Zbadali sześćdziesiąt osób. Gdy skończyli, Jacinta była wyczerpana psychicznie. Wśliznęła się do swojej chaty i położyła. Przyglądając się małej jaszczurce pełzającej po ścianie, żałowała, że w ogóle tu przyjechała. Tęskniła za ojcem i Noni. Pragnęła znaleźć się w swym bezpiecznym domu w Sydney i zapomnieć o Pudjip. Wiedziała jednak, że to ostatnie nigdy się nie spełni.

Jonah doskonale rozumiał jej stan. Wielu wolontariuszy cierpiało na nagłe napady nostalgii, szczególnie po tak brutalnym zetknięciu z rzeczywistością wyspy.

Gdy zapukał do drzwi zabezpieczonych moskitierą, Jacinta nie spieszyła się z otwarciem. Zastanawiał się, czy nie śpi, lecz gdy ujrzał jej twarz, domyślił się wszystkiego.

– Mogę wejść?

– Proszę.

Odsunęła się, robiąc mu przejście. Stała pośrodku pokoju, spuściła wzrok i zaczęła przyglądać się swoim dłoniom. Jonah podszedł do niej, wsunął jej palec pod brodę, uniósł jej głowę i spojrzał w oczy.

– Niech zgadnę... Marzy ci się czarodziejski dywan, który przeniesie cię do twojego domu w Sydney, daleko od wszystkich tragedii, których jesteś tu świadkiem.

– Tak – szepnęła.

Pochylił się i musnął jej wargi swoimi. Odnalazł w tym pocałunku tę samą słodycz co wczoraj.

– To minie – tłumaczył. – Otrząśniesz się i będziesz dalej pracować, już zahartowana i bardziej zdeterminowana, aby się nie poddawać.

– A jeśli nie znajdę w sobie dość siły?

Objął ją i przytulił.

– Znajdziesz. Jesteś jedną z najsilniejszych kobiet, jakie znam, tylko nie miałaś okazji się sprawdzić.

Wypuścił ją z objęć i cofnął się. Nagle zapragnął czegoś więcej niż pocałunek, a Pudjip nie jest odpowiednim miejscem na romanse. Związek z kobietą taką jak Jacinta nie byłby przygodą. Byłby jak tropikalny cyklon, a jego żywioł na zawsze zmieniłby życie ich obojga. Gdyby przyznał przed sobą, że zawładnęła jego sercem, i gdyby coś złego jej się stało, nie przeżyłby tego. Lata temu postanowił nie wiązać się i nie zamierzał rezygnować ze swych zasad. Mógł jednak coś dla niej zrobić.

Wiedział, że przydałaby się jej rozrywka.

– Spotkajmy się jutro po dyżurze w ambulatorium – zaproponował. – Pojedziemy na targ. Jeszcze nie widziałaś tutejszych atrakcji, a za tydzień wyruszamy w rejonry rzeki Sepik. Będziesz miała okazję podszlifować swój pidżyn.

Jacinta z mieszanymi uczuciami odprowadziła go wzrokiem, a potem zamknęła drzwi na zasuwkę.

Wycieczka na targ. Chce mi zrobić przyjemność, jak dziecku. Tak mnie traktuje. Przez jedno mgnienie wydawało jej się, że zmiążdży ją w uścisku i czuła,

jak jej ciało odpowiada na podniecie, przywiera do jego ciała. Niestety, Jonah zignorował ten sygnał.

Dla niego jest tylko jedną z wolontariuszek, które przyjeżdżają na tydzień, miesiąc, może dwa, a potem wyjeżdżają i wszystko wraca do normy. Odtrącił ją, delikatnie, lecz zdecydowanie. Więc co, do diabła, ona tu jeszcze robi?

Wstał nowy, piękny dzień. Jacinta z uśmiechem towarzyszyła Jonahowi podczas obchodu, a potem rozpoczęła dyżur w ambulatorium. Cały czas powtarzała sobie, że jest tu po to, by zdobywać nowe doświadczenia zawodowe i że doktor Armstrong jest po prostu kolegą.

Podczas jazdy na targ było jej już odrobinę trudniej zachowywać dystans. Słońce wpadało przez szybę w drzwiach dżipa i oświetlało ręce Jonaha manewrujące kierownicą.

Nagle odwrócił się do niej, powiedział coś, czego nie dosłyszała, potem wybuchnął śmiechem. W kąciakach zmrużonych oczu pojawiły się zmarszczki, a jego pięknie wykrojone usta nabrały łagodności. Jacinta poczuła w sercu ukłucie żalu.

– Powtórz, nie dosłyszałam – poprosiła.

Naprawdę chodziło jej o to, by się znowu roześmiał i zaraził ją swoim ciepłem. Nie uczynił tego, lecz skąd miał wiedzieć, czego pragnie i potrzebuje?

– Od rana jesteś taka milcząca. O co chodzi? – spytał. – Wczorajsza tragedia nadal nie daje ci spokoju?

– Chyba tak.

O ile łatwiej jest przytaknąć niż powiedzieć: Myślę o twoim pocałunku, bo jestem bliska zakochania się w tobie. Westchnęła i szybko odwróciła głowę. Niewidzącym wzrokiem patrzyła przez szybę. Wargi jej wyschły, poczuła ucisk w żołądku. Nie, to nie może być prawda. Związek z Jonahem jest niemożliwy. On żyje tylko dla Pudjip i z powodu zagrożenia nie bierze pod uwagę założenia rodziny. Ona ma rodzinę i bogate życie w Sydney i nigdy nie zostawi wszystkiego, co osiągnęła, i nie odda się pod opiekę żadnemu mężczyźnie. Nawet Jonahowi.

– Opowiedz mi o targu. Jest duży? Daleko jeszcze?

– Nie przypomina żadnego targu, jaki widziałas w Sydney. Kobiety zbierają się pośrodku wioski i sprzedają żywność i rozmaite wyroby rękodzielnicze, a mężczyźni plotkują. Musisz się ostro targować, inaczej sprzedawca będzie rozczarowany – ostrzegł. – Masz jakieś pieniądze?

Kiwnęła potakująco głową. Im szybciej dojedziemy, tym lepiej, pomyślała, nie mogąc doczekać się czegoś, co odwróciłoby jej uwagę od analizowania uczuć.

Wioska była mała, lecz okrągłe chaty były solidnie zbudowane, a widok na pobliskie góry zapierał dech w piersiach. Soczyście zielony las podchodził prawie do samych zabudowań. Przez środek osady biegła droga, przy której stały grupki głośno targujących się ludzi.

Jaskrawe pióropusze i ubiory kobiet oraz mężczyzn kontrastowały z ich ciemną skórą. Zalany słońcem targ tętnił życiem i Jacinta ucieszyła się, że tu przyjechała.

Gdy wszędobylskie dzieci dostrzegły Jonaha, natychmiast otoczyły go gromadą, śmiejąc się i czepiając jego rąk. Jonah wziął na ręce może pięcioletnią dziewczynkę, okręcił się z nią jak na karuzeli i stając przed Jacintą, powiedział:

– Przywitaj się z Missy-Dokkta, Gina. – Dziewczynka schowała buzię na jego ramieniu i zachichotała. – Gina miała perforowany wyrostek i musieliśmy walczyć o jej życie – wyjaśnił – ale tak łatwo się nie poddała. – Postawił małą na ziemi, sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść cukierków i zaczął rozmawiać z innymi dziećmi. Do każdego zwracał się po imieniu. – Missy-Dokkta przyjechała zobaczyć targ – tłumaczył.

Nagle wszystkie dzieci stłoczyły się wokół niej i zaczęły ją ciągnąć w kierunku straganów. Obejrzała się za siebie. Roześmiany Jonah patrzył na nią, a jego oczy miały wyraz, jakiego nigdy przedtem nie widziała.

Kiedy dzieci znudziły się już i odeszły, Jacinta zaczęła przechadzać się między rzędami handlujących i podziwiać miejscowe rękodzieło. Kupiła trzy przepiękne sznurkowe zielono-złote kosze, w których miejscowe kobiety noszą na głowach zakupy – jeden dla Noni, drugi dla jej przyrodniej siostry Nanette, a trzeci dla siebie.

Potem zapakowała wszystkie sprawunki do jednego z nich, postawiła na głowie i wsunęła pasek pod brodę. Ten sposób noszenia zakupów okazał się zaskakująco wygodny. Kupiła jeszcze dwie małe maski, jedną z ciemnego drewna z oczami z muszelek

dla ojca i drugą, ręcznie malowaną w kolorach ochry, która mogłaby się spodobać synowi Noni, Harleyowi. Nagle jej uwagę przykuło stojące na samym brzegu dywanu prześliczne naczynie z pokrywką wykonane z łupiny orzecha kokosowego i pomalowane w kunsztowne wzory. Kusiło ją, by je kupić, lecz nie mogła się zdecydować.

– Podoba ci się? – spytał Jonah, który nagle otoczył ją ramieniem. – Wiesz, że jeśli je kupisz, ludzie zaczną plotkować?

Jacinta spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Zaintrygował ją jego figlarny ton.

– Co to jest?

– Tykwa płodności. Szaman napędza ją magiczną mieszanką ziół, z której przyrządza się napój gwarantujący płodność.

– Wierzysz w takie rzeczy?

– Oczywiście, że nie, ale jest przepiękna – odparł, a zwracając się w pidżynie do bezzębnej staruszki, która tykwę wyrzeźbiła, oświadczył: – Kupuję.

Potem teatralnym gestem wręczył zakup Jacincie, a widząc jej zażenowanie, wybuchnął gromkim śmiechem.

Niedługo potem ruszyli w drogę powrotną. Jacinta przyglądała się wspaniałym lasom przesuwającym się za oknem. Dobrze było wyjechać z misji. Cieszyła się też, że będzie miała wspomnienia związane z Jonahem.

– Dobrze się bawiłaś?

– Wspaniale – odparła i dodała: – Zauważyłam, że wszystkie dzieci cię uwielbiają.

– Znają się na ludziach.

– Ha! Straszny z ciebie zarozumialec. Mnie nie oszukasz, widziałam, jak przekupujesz je cukierkami.

W odpowiedzi Jonah tylko się roześmiał. Dalsza droga minęła im w milczeniu.

Następnego dnia rano zachowywał się jak zwykle – był bardzo zajęty, skoncentrowany na pracy. Właśnie rozpoczęli obchód, gdy wezwano ich do sali, gdzie rodziła niemłoda już kobieta. Kiedy się tam zjawili, wody odeszły, akcja porodowa była w końcowej fazie, a w rozwartym kroczu matki widać było maleńkie pośladki. Jacinta z przerażenia zrobiła okrągłe oczy, Jonah zaś lekko gwizdnął i natychmiast podszedł do zlewu umyć się do zabiegu.

– W przypadku porodu pośladkowego – rzucił przez ramię – najlepiej jest nie wpadać w panikę i na ile można, pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Zazwyczaj dziecko samo sobie poradzi. Uważam, że to ty powinnaś odebrać poród, bo może się zdarzyć, że innego dnia zostaniesz bez pomocy. Naciągnij rękawiczki. Będę cię instruował, co robić.

– Na studiach mieliśmy tylko jeden semestr z ginekologii – wybąkała. – Nigdy nie zajmowałam się położnictwem.

– Ani ja – odparł. – Niestety, nie ma tutaj położnika.

Kiwnęła potakująco głową. Miała duszę na ramieniu, lecz się opanowała. Słowa Jonaha okazały się prorocze. Po chwili, dzięki staraniom matki i własnemu instynktowi, dziecko przesunęło się i stwierdzili, że nowym członkiem rodziny będzie chłopczyk.

Krótko potem wyskoczyła jedna nóżka, następnie druga. Teraz zobaczyli napiętą pępowinę.

– Można by za nią pociągnąć, żeby zmniejszyć napięcie, ale boję się, że to spowoduje skurcz – tłumaczył Jonah.

I rzeczywiście po chwili śliska pępowina sama przesunęła się przez kanał rodny. Rola Jacinty polegała teraz na podtrzymaniu dłońmi brzuszka dziecka i czekaniu.

– Uważaj, żeby plecy były cały czas do góry. Gdybyś poczuła, że dziecko się przekręca, musisz delikatnie temu przeciwdziałać. Palce obejmują nóżki tuż poniżej bioder, a kciuki trzymasz między pośladkami. Dzięki temu nie uciskasz na podbrzusze. I nie ciągnij.

– Dobrze – powiedziała, układając dłonie tak, jak jej pokazał Jonah.

– Właśnie wtedy zaczynają się kłopoty. Dziecko wyciąga szyję albo prostuje rączkę, a tego już na pewno nie chcemy. – Klatka piersiowa i ramiona wyszły szybko, czekali tylko na główkę. Jacinta obejrzała się na Jonaha, a on na migi pokazał jej, w jaki sposób ma podtrzymywać noworodka przedramieniem. – Dzieci, które rodzą się pośladkowo, nie mają trudności z przeciśnięciem główki i uważam, że nie należy niczego przyspieszać. Ułóż palce w ten sposób – pokazał jej w powietrzu, jak ma podłożyć jedną dłoń pod buzię, a drugą nakryć kark, by zapobiec zbyt szybkiemu wysunięciu się główki. – Co teraz?

– Możemy wolno unieść nóżki, a małeństwo zarzuci podbródek, kiedy główka będzie przesuwała się

przez kości miednicy – odrzekła. Małeńki chłopczyk zrobił dokładnie to, czego się po nim spodziewali, i nagle już było po wszystkim. – Mój pierwszy poród pośladowy – szepnęła przejęta Jacinta i położyła synka na brzuchu matki.

Jonah śledził jej ruchy, lecz nagle oczy rozszerzyły mu się i zawołał:

– Nie odchodź! Zaraz urodzi się drugie.

Poród bliźniaka też był pośladowy i też przebiegł bez komplikacji.

– Dlaczego w Australii robi się tyle cesarskich cięć? – zdziwiła się Jacinta.

– Ponieważ tu matki docierają do szpitala, kiedy poród już jest w bardziej zaawansowanej fazie. – Poczekala na wydalenie drugiego łożyska, potem Jonah zaczął masować brzuch kobiety, by pobudzić obkurczanie się naczyń i zapobiec krwawieniu wewnętrznemu. W pewnej chwili zadał jej pytanie, a gdy odpowiedziała, przetłumaczył: – Kea jest tu zaledwie od kwadransa. Przeszła dwadzieścia mil piechotą.

Jacinta zrobiła wielkie oczy.

– Cóż, to też jest sposób, żeby rodząca nie musiała leżeć w łóżku – zażartowała.

– Kea już rodziła bliźnięta, więc pewnie jutro wróci do domu – ciągnął Jonah. – Martwię się nie tyle o dzieci – dodał – co o nią. To jej dziewiąta ciąża, więc może jeszcze krwawić. – Zamienił kilka słów z matką i pielęgniarką, a potem zachęcająco kiwnął głową, gdy oba noworodki zostały przystawione do piersi. – Miejmy nadzieję, że wczesne karmienie wzmoże wydzielanie oksytocyny i przyspieszy obkurczanie macicy.

Gdy Jacinta umyła się, Jonah wydał ostatnie polecenia pielęgniarce i wrócili do innej części szpitala. Zanim doszli na oddział, dogoniła ich zdenerwowana pielęgniarka z izby przyjęć. Powiedziała coś, czego Jacinta nie rozumiała, a Jonah natychmiast puścił się pędem za nią. Jacinta pobiegła za nimi.

Pomieszczenie wypełniał tłum rannych kobiet i mężczyzn. Jechali ciężarówką, która wywróciła się na górskiej drodze. Na szczęście nikt nie zginął, lecz ludzie w szoku krzyczeli jeden przez drugiego. Jonah głośnym okrzykiem zdołał ich uciszyć.

– Zorientuj się, kogo należy przyjąć w pierwszej kolejności, dobrze? – zwrócił się do Jacinty. – Zaczę od tego mężczyzny, bo w jego przypadku potrzebna będzie odma opłucnowa. Stan pozostałych wydaje się stabilny. Sprawdź, czy pielęgniarki nie przeoczyły jakiegoś poważnego przypadku.

Przez następne dwie godziny Jacinta zakładała łubki na złamane kończyny, opatrywała i zszywała rany. Do prześwietlenia ustawiła się cała kolejka.

Gdy ostatni poszkodowani opuszczali szpital, Jacinta i Jonah wymienili uśmiechy.

– To przypominało mi poniedziałkowy poranek w Pickford – skomentowała, ściągając rękawiczki.

– Coraz lepiej radzisz sobie z językiem – pochwalił ją Jonah. – Zobaczysz, jak dobrze się będziesz bawiła podczas naszej wyprawy.

Niespodziewanie ogarnęły go jednak wątpliwości, czy on również będzie się dobrze bawił. Zazwyczaj lubił ekspedycje, lecz tym razem będzie z Jacintą. Tutaj w szpitalu jest bezpieczna, a gdy jej bliskość

zbyttnio go niepokoiła, mógł się oddalić. Podczas wyprawy z konieczności będą cały czas razem. Zastanawiał się, czy jeszcze nie jest za późno na zmianę planów.

– O czym myślisz?

– O naszym wyjeździe. To już w przyszłym tygodniu.

– Dlaczego masz taką ponurą minę?

Jonah podrapał się po karku. Wiedział, że Jacinta jest bardzo dociekliwa.

– Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybyś została tutaj. – W jej oczach natychmiast pojawił się waleczny błysk. Nie przypominała już zdruzgotanej kobiety sprzed dwóch dni. – To nie będzie piknik. Poza tym oprócz zagrożenia ze strony miejscowych watażków i ich band są groźne insekty i drapieżniki. W porównaniu z warunkami, jakie tam czekają, nasze mieszkania tutaj to luksusowy hotel.

Jacinta spiorunowała go wzrokiem.

– Gdybym chciała mieszkać w luksusowym hotelu, zostałabym w Sydney. Lepiej opowiedz mi o Sepiku.

– Sepik – powtórzył i natychmiast poczuł w nozdrzach ciężki zapach rzeki, a na skórze wilgotne parne powietrze. – Nie ma drugiego takiego miejsca na ziemi. Jak wiesz, ten rozległy rejon znajduje się na północ od nas. Rzeki wiją się w tropikalnej dżungli, a ciągnące się milami mokradła to raj dla krokodyli, węży i groźnych dzikich świń.

– Węże, mówisz? Co prawda pochodzę z Australii, ale nienawidzę węży.

– Nic na to nie poradzę – odparł. – Wioski przycupnięte są na brzegach, a domy stoją na palach, żeby woda ich nie zalewała. Najlepiej pamiętam łódki, od całkiem małych, dzieciennych, do większych, mieszczących całą rodzinę, uwiązanych do pali. Jest cholernie gorąco, komary tną jak oszalałe. To chyba tam złapałem tę malarię, która powaliła mnie w Sydney.

– Biorę leki. Dużo przyjmujemy chorych?

– Bardzo dużo. Podróżują kilka dni, żeby się dostać do lekarza, a nasza aparatura nigdy nie jest wystarczająca, żeby pomóc we wszystkich przypadkach. Niektórym jednak jesteśmy w stanie pomóc i ta świadomość sprawia, że wciąż tam wracam.

– Przydam ci się więc – stwierdziła spokojnym tonem.

– Wiem – westchnął. – Nie będziemy zmieniali planów. Zajrzę do Kei, a ty idź na lunch. Zaraz dojdę.

Odprowadził ją wzrokiem. Z każdym dniem zajmowała coraz więcej miejsca w jego myślach, szczególnie odkąd ją pocałował. Musi panować nad sobą. Kłopot w tym, że ilekroć powziął takie postanowienie, coś się wydarzało i zbliżało ich do siebie coraz bardziej.

Potrząsnął głową, skręcił w lewo i skierował się do sali poporodowej. Jeszcze tylko sześć tygodni, pomyślał, i Jacinta wyjedzie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rankiem, gdy wyruszali z Pudjip i krętą szosą jechali do Mount Hagen, świeciło słońce i wiał lekki wiatr.

Zgodnie z planem samolot wynajęty przez Missions Pacific miał ich zabrać do Lewaku, a następnie do Hauny. Tam mieli się przesiąść do dłubanych z pnia drzewa łodzi wypełnionych aparaturą i zapasami leków i płynąć przez dżunglę w górę rzeki Sepik. Jonahowi i Jacincie towarzyszyli Carla i jej mąż Samuel, pielęgniarz anestezjolog. Po drodze mieli do nich dołączyć inni wolontariusze – Bob Giles, laryngolog, i jego żona Marsha, lekarz pediatra, którzy co roku przyjeżdżali specjalnie z Nowego Jorku. Podobnie jak Jonah, robili to dla satysfakcji z niesienia pomocy potrzebującym.

Mniej więcej godzinę jazdy przed Hagen, na odludziu, drogę zagrodziło im powalone drzewo. Jonah zwolnił, a gdy stanęli, mruknął do pielęgniarza:

– Tylko bez zbędnego ryzykanctwa.

Tymczasem z dżungli wyłoniło się czterech Papuasów. Jonah włączył bieg wsteczny, lecz zanim zdążył zawrócić, z drugiej strony wyszło następnych czterech wojowników. Przywódca na migi pokazał Jonahowi, żeby wysiadł. Samuel wysiadł razem z nim.

– Nie ruszajcie się – polecił Jonah, a Carla w milczeniu kiwnęła głową.

Tubylcy otoczyli obu mężczyzn kołem. Pomiedzy ich przywódcą a Jonahem wywiązała się ożywiona dyskusja. Stanowcza postawa Jonaha świadczyła o tym, że nie zgadza się na wysuwane żądania. Dopiero gdy wojownicy unieśli toporki i wskazali nimi siedzące w samochodzie kobiety, zamilkł i położył rękę na ramieniu Samuela, chcąc go powstrzymać, by nie rzucił się na napastników.

– Pojadę z nimi – oświadczył. – Ty wsiadaj do dżipa.

Słyszac te słowa, Jacinta poczuła, że żołądek zamienia się jej w zimny kamień.

Samuel gwałtownie potrząsnął głową na znak sprzeciwu, a wówczas jeden z Papuasów podszedł i uderzył go płazem toporka w skroń. Pielęgniarz osunął się na ziemię. Jonah rzucił się ku niemu, lecz wówczas któryś z wojowników przystawił mu do gardła ostrze dzidy.

Carla wydała z siebie okrzyk przerażenia, wyskoczyła z samochodu i przypadła do męża. Jacinta wysiadła za nią. Wspólnymi siłami zaciągnęły półprzytomnego mężczyznę do samochodu i ułożyły na tylnym siedzeniu.

– Wracajcie do Pudjip! – krzyknął do nich Jonah. – Chuck będzie wiedział, z kim się skontaktować.

Wówczas przywódca bandy wskazał Jacintę. Jonah gwałtownie potrząsnął głową, lecz tamten nie dawał za wygraną. Dwóch młodszych wojowników

z dzidami zbliżyło się do dżipa i kazali jej wyjść.

– Grożą, że jeśli z nimi nie pójdziesz, zabiją Carlę i Samuela. Któryś z nich wie, że jesteś lekarką. Mówią, że nas wypuszczą, jak tylko wykonamy zadanie. Weź tyle leków, ile zdołamy unieść, a oni niech wracają do szpitala.

Jacinta zacisnęła pięści, by nie było widać, jak bardzo drżą jej palce. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Siłą woli starała się zmusić do racjonalnego myślenia i z ogromnych zapasów, jakie wieźli do Sepiku, skompletowała podręczną apteczkę. Po namyśle dorzuciła jeszcze tabletki przeciw malarii i środki do odkażania wody.

Mężczyźni z dzidami zaczęli ją popędzać. Zasunęła zamek błyskawiczny plecaka i dołączyła do Jonaha. Grupa natychmiast ruszyła.

– Wszystko powinno być okej – rzekł do niej Jonah. – Jeden z ich wojowników jest ranny, ale ponieważ władze go poszukują, Papuasi boją się, że w szpitalu mógłby zostać aresztowany.

– A czy nasze porwanie nie sprowadzi tutaj dodatkowych posiłków policji?

– Mam nadzieję, że tak, ale nie od razu. Tu wszystko dzieje się powoli. Chyba że nas zabiją. Najlepiej by było tak: my ratujemy rannego, oni puszczają nas wolno, wysyłają przeprosiny do misji i obie strony dalej udają przyjaciół.

Jacinta nie mogła uwierzyć, że Jonah mówi to wszystko z takim spokojem.

– Zdarzyło się tak już przedtem?

– Dwukrotnie.

– Teraz już się nie dziwię, że nie chciałeś, żebym z tobą jechała.

– Ba!

Mężczyźni nie byli napastliwi ani niepotrzebnie brutalni w stosunku do niej, lecz nie okazywali jej współczucia. Gdy z jakiegoś powodu zwalniała kroku, wówczas ostre zakończenie dzidy przypominało, że ma przyspieszyć.

Po pół godzinie marszu zaczęło brakować jej sił. Usłyszała, jak Jonah rozmawia z jednym z porywaczy, potem odebrano jej plecak i wręczono jemu. Mimo wyrzutów sumienia, że Jonah musi nieść podwójny ciężar, odetchnęła z ulgą.

– Dzięki – rzuciła cicho przez ramię. W gardle jej zaschło i mówiła schrypniętym głosem.

– Już zaraz staniemy. Tam będzie wąż, a nad nim most linowy – uprzedził Jonah. – Nie patrz w dół. Uważaj na liany, bo się potkniesz. Niedaleko stamtąd jest wodospad.

– Wiesz, gdzie idziemy?

– Przez pierwszą godzinę mniej więcej się orientowałem, dalej już nie.

– Ile czasu będziemy iść?

– Nie mam pojęcia. Kiedy dojdziemy, pozwolą ci odpocząć. Pochyl głowę i nie prowokuj ich. Chociaż jeśli będziesz miała szansę, uciekaj. O mnie się nie martw. Pojedynczo będzie nam znacznie łatwiej się uwolnić, niż we dwójkę. O mnie nie myśl, dam sobie radę.

Jacinta wątpiła, czy zastosuje się do tych sugestii.

Myśl, że mogłaby znaleźć się w dżungli całkiem sama, napawała ją przerażeniem.

Gdy dotarli do obozu, od razu zorientowali się, że członkowie plemienia nie zamierzali długo zatrzymać się w tym miejscu. Obóz składał się z około tuzina prowizorycznych namiotów i dwóch ognisk. Na skraju przycupnęła grupka kobiet zajętych obieraniem warzyw.

Jonaha od razu zaprowadzono do wodza, Jacinę zaś wepchnięto do pustego namiotu. Przez otwór wejściowy widziała nogi strażnika. Ogarnął ją histeryczny śmiech, lecz na szczęście zdusiła go w sobie. Po co mnie pilnują? Przecież nigdzie się nie wybieram!

Usiadła na ziemi, plecy oparła o maszt, drżące nogi wyciągnęła przed siebie. Przymknęła oczy. Obrazy katowanego Jonaha cisnęły się jej pod powieki, lecz powtarzała sobie, że już kiedyś był w podobnej sytuacji i wyszedł z niej obronną ręką. Bała się nawet myśleć o tym, co by się stało z nią, gdyby go zabrakło.

Musiała zasnąć, bo gdy otworzyła oczy, słysząc wchodzącego do namiotu Jonaha, słońce było już niżej. Bogu dzięki nic złego mu się nie stało.

Jonah również rozpromienił się na jej widok. Żyje! Przez ostatnie godziny nie przestawał myśleć o Jacinie. Na jego uporczywie powtarzane pytania wódz niezmiennie odpowiadał, że jest bezpieczna w namiocie i że ma być gwarancją, że on uratuje jego syna. W miarę upływu czasu, gdy stan chorego się nie poprawiał, zaczął mamrotać pod nosem straszliwe

groźby, co zrobią z Missy-Dokkta, jeśli chłopak nie wyzdrowieje.

Na szczęście ranny zaczął w końcu oddychać swobodniej i wódz niechętnie zgodził się, by Jonaha zaprowadzono wpierw do strumienia, żeby się umył, a potem do namiotu, gdzie trzymali Jacintę.

Ujrawszy ją całą i zdrową, Jonah omal nie zemdlał z radości. Siłą woli powstrzymał się, by nie chwycić jej w ramiona i nie przytulić. Jacinta nie miała podobnych oporów. Rzuciła się w objęcia Jonaha i skryła twarz na jego piersi.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknęła. – Żyjesz!

Przyłożył twarz do jej włosów i wdychał woń jej ciała, jakże świeżą w porównaniu z odorem gnijących ran i zbliżającej się śmierci.

– Nic złego ci nie zrobili?

– Nie. Co z tobą?

– Jestem potwornie zmęczony.

– Jak chory?

– Umiera. Obawiam się, że mogą uznać, że to nasza wina.

Jacinta poczuła dławienie strachu w gardle. Jonah odsunął się od niej i zacisnął pięści. Zrozumiała, że sytuacja przedstawia się groźniej, niż przypuszczała.

– Co można zrobić? – spytała.

Słyszając ich głosy, strażnik zajrzał do namiotu i obrzucił ich pełnym podejrzliwości wzrokiem. Jonah położył jej palec na ustach i zasłonił ją własnym ciałem. Pocieszała się myślą, że ma doświadczenie,

jak zachowywać się w niebezpiecznych sytuacjach. Z drugiej jednak strony doskonale wiedziała, że sam sobie nie poradzi z tyloma przeciwnikami. Strażnik cofnął się. Płachta zamykająca wejście do namiotu opadła. W prześwicie tuż nad ziemią widzieli jednak jego stopy.

Jonah rozejrzał się po prowizorycznym schronieniu, potem spojrzął na zaniepokojoną twarz Jacinty.

– Obrona w tym miejscu jest niemożliwa, ale dopóki ofiara żyje, jeszcze nie wszystko stracone. Chodzi o Tumę, syna wodza, rannego w brzuch. Wdała się gangrena i potrzeba więcej antybiotyku. Powiedziałem ojcu, że jeśli nie zawiozą go do szpitala, chłopak nie przeżyje. – Spojrzął jej w oczy i dodał: – Wódz zapowiedział, że jeśli jego syn umrze, my też umrzemy.

– Co można zrobić? – powtórzyła.

Jonah wzruszył ramionami.

– Dalej przemywać ranę, podawać antybiotyki, pilnować, żeby nie doszło do odwodnienia i mieć nadzieję, że jego własny system odpornościowy okaże się wystarczająco silny. Obawiam się jednak, że tylko zyskamy trochę czasu, jeśli będziemy mieli szczęście, nawet kilka dni, ale nie unikniemy najgorszego. Posocznica go zabije.

Rzeczowość jego tonu rozwiała wszelkie nadzieje Jacinty, że uda im się odzyskać wolność.

– Nie przejmujesz się zbytgroźbą wodza. – Z trudem wydobywała z siebie głos. Cała ta sytuacja wydawała jej się surrealistyczna.

– Przeciwnie, bardzo się przejmuję – zaprzeczył.

– Groźba jest całkiem realna, ale nie planuję czekania na jej spełnienie. Widzę, że cię nie związali. To dobry znak. Księżyc zajdzie mniej więcej za godzinę. Wtedy będziemy mieli szansę się wyśliznąć.

Odetchnęła z ulgą. Jonah ma pewność, że uciekną. Cieszyła się, że ma doświadczenie w podobnych sytuacjach. Nagle przypomniał jej się pilot, z którym przyleciała z Port Moresby, i jego doświadczenia z awaryjnym lądowaniem. Tutaj człowiek zdobywa nietypowe umiejętności, pomyślała z sarkazmem.

– Jaki masz plan?

Jonah poczuł ciężar jej oczekiwań na barkach. Jacinta stała lekko pochylona ku niemu, bezbronna jak nowo narodzone dziecko, ufna, że on znajdzie rozwiązanie wszelkich problemów. Jego największe obawy niestety się spełniły. Powtarza się sytuacja z Melindą. Chciał głośno zawołać, że nie chce brać na siebie takiej odpowiedzialności. A jeśli i tej kobiety nie uda mu się uratować? Ta myśl była jak uderzenie obuchem w głowę.

– Musimy czekać na sprzyjający moment – odrzekł. – Gdyby stan chorego Tummy się pogorszył, obudzą nas. – Zawiesił głos, a po chwili dodał: – Albo gdyby zmarł. Spróbuj zasnąć – dodał. – Kiedy uciekniemy, czeka nas ciężki marsz w ciemnościach.

Jacinta próbowała uśmiechnąć się do niego.

– Dziękuję, że mówisz „kiedy”, a nie „jeśli”.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wahała się chwilę, zanim położyła się na ziemi.

– Przytul mnie – poprosiła.

Rzeczywistość osaczyła go z brutalną siłą. Zacisnął

powieki. Nie może pozwolić, by Jacintę spotkał równie tragiczny los co Melindę. Wiedział, że czeka na jego reakcję. Zły był na siebie, że musi go prosić o to, czego tak bardzo potrzebuje.

– Mogę? – spytał i przyciągnął ją do siebie. – Poczekaj, rozłożę koc. Nie jest zbyt miękki, ale przynajmniej nie będziemy leżeli na gołej ziemi.

Potem położył się przy niej, a ona przytuliła się do niego, kładąc policzek na jego sercu. Czubek jej głowy znalazł się tuż koło jego ust. Nie mógł się powstrzymać, by nie pocałować jej pachnących cytrusowym szamponem włosów. Znowu przymknął oczy, wszystkimi zmysłami chłonąc jej bliskość, odurzającą niczym narkotyk. Gwałtownie otworzył oczy.

Szaleństwem byłoby poddać się nastrojowi chwili. Spojrzał w górę, gdzie w prześwicie u wierzchołka namiotu widać było maleńki skrawek nieba i świecące gwiazdy. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę chce kochać się teraz z Jacintą. Na miłość boską! Przecież grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo! Rozproszone światło księżyca sączyło się do namiotu. Gdyby padał deszcz, zmoczyłby ich. Przydałby mi się zimny prysznic!

Jacinta musiała wyczuć, że myślami oddalił się od niej, bo odwróciła głowę i zajrzała mu w twarz.

– Pocałuj mnie – szepnęła.

Gdy dotknął jej warg, poczuł ich niewysłowioną słodycz. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili. Znowu zaczął ją całować, tym razem do zatracenia.

– Już dawno chciałem to zrobić tak jak teraz

– wyznał. – Od pierwszej sekundy, kiedy zobaczyłem twoją piękną twarz.

Jacinta wątpiła, czy obecnie wygrałaby jakiś konkurs piękności, lecz uczucie, jakie Jonah włożył w swoje słowa, było jak pieśczoła. Uśmiechnęła się, przymknęła oczy. Chciała zapomnieć, gdzie jest.

Zrozumiała, dlaczego przyjechała za nim do tego kraju, ryzykując wszystko – przyjechała dla tej chwili i następnych, jakie im pozostały. Tutaj w górach, w tym obskurnym namiocie, w pełną grozy parną noc, znalazła miłość swojego życia. Nie przelotną, romantyczną, pensjonarską, lecz potrzebną jak powietrze, trudną i pełną cierpienia, jeśli dane im będzie ją przeżyć.

Przytłoczona ogromem tego odkrycia, stłumiła w sobie pytania, jakie cisnęły się jej na usta. Uniosła głowę i spojrzała na Jonaha. Tym razem ona zainicjowała pocałunek. Gdy dotknęła jego warg, rozluźnił mięśnie, a delikatne muśnięcie językiem rozpalilo jego namiętność. Przesunął się, niemal zmiądzzył ją w uścisku, lecz po chwili opanował się i szepnął:

– Bardzo cię pragnę, kochanie, lecz to nie jest odpowiednie miejsce. Spróbuj zasnąć. Mam nadzieję, że gdy bezpiecznie dotrzemy do Pudjip, nie pożałujesz, że ci to wyznałem. – Uniósł się, ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy. – Jesteś najbardziej zadziwiającą kobietą, jaką spotkałem – dodał. Raz jeszcze ją pocałował, potem wypuścił z objęć, usiadł i oparł się plecami o maszt namiotu. – Spróbuj zasnąć – powtórzył. – Będę czuwał.

Westchnęła ciężko, położyła się na plecach, ramie-

niem zakryła twarz. Wiedziała, że nie zaśnie. Po chwili usiadła obok Jonaha.

– Już trochę spałam – zaczęła. – Opowiedz mi o swojej siostrze.

– Och, kobiety! – mruknął z ironią w głosie, lecz Jacinta wiedziała, że się na nią nie gniewa. – Melinda była aniołem, naiwna, pełna dobroci i zawsze uśmiechnięta. Wierzyła, że ludzie są dobrzy, i ostatecznie ta wiara ją zabiła. Nigdy nie powinienem być jej pozwolić zostać tutaj ze mną. Pewnej nocy wyszła poza teren szpitala do kogoś, kto potrzebował pomocy, a ja byłem zajęty. To wystarczyło. Już jej żywej nie zobaczyłem.

Zgarbił ramiona, a Jacinta pomyślała, że jest bardzo zmęczony.

– Odpocznij – szepnęła – oprzyj mi głowę na kolanach. Nawet na pół godziny. W razie czego cię obudzę.

Niedługo potem księżyc zaszedł. Obudziła Jonaha. Stał przy wejściu do namiotu, odchylił klapę i spojrział na pogrążonego we śnie strażnika. Położył palec na ustach i dał znać Jacincie, by szła za nim, lecz zanim zdążyli zrobić dwa kroki, wojownik, który ich porwał, zagroził im drogę dzidą i kopnięciem obudził strażnika. Ten wepchnął ich z powrotem do namiotu. Na migi pokazał, że mają usiąść przy maszcie i założyć ręce do tyłu. Jonah próbował z nim dyskutować, lecz mówili tak szybko, że Jacinta niczego nie zdołała zrozumieć. Wojownik skrępował im przeguby i przywiązał ich do masztu. Potem szarpnął linę i upewniwszy się, że unieruchomił więźniów, wyszedł.

Jonah splótł palce z palcami Jacinty, chcąc dodać jej otuchy. Zaklął pod nosem, a potem już głośniejszym głosem powiedział:

– Coś wymyślimy. Nie martw się. – Gdy milczała, uściskał jej palce i zapytał: – Nic ci nie jest?

– Nawet ja wiem – głos jej drżał, ale Jonah wiedział, że stara się być dzielna – że znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Ale nie rozkleję się – szepnęła, i ciszej, jakby do siebie, dodała: – Nie teraz. Dopiero później.

– Jesteś cudowna. I wspaniale całujesz.

Uścisknęli sobie palce.

– A ja z nikim innym nie chciałabym być przywiązana do jednego pala – rzuciła, siląc się na swobodny ton. – A teraz już nic więcej nie powiem, żebyś mógł myśleć nad tym, w jaki sposób moglibyśmy się stąd wydostać.

Po chwili usłyszał jej równomierny oddech. Zapadła w drzemkę. Wiedział, że muszą uciekać, zanim syn wodza umrze. Szarpnął za sznury – nie puściły. Papuas od dziecka zdobywa wprawę w krępowaniu zwierząt.

Jonah pomyślał, że jutro musi znaleźć ostry kamień, którym spróbują przeciąć linę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Promienie wschodzącego słońca wśliznęły się do namiotu. Mniej więcej w tym samym momencie odgłosy porannego ruchu w obozowisku obudziły Jacintę. Niecałą minutę później brezentowa kłapa uniosła się i strażnik wprowadził starszą kobietę.

Jonah raptownie otworzył oczy, gdy Papuaska, mamrocząc coś, zaczęła szarpać sznur i rozwiązywać jego towarzyszkę. Jacinta przyglądała się kobiecie, pewna, że już ją gdzieś widziała. Jonah przemówił do tubylców w jakimś nieznanym dialekcie. W odpowiedzi kobieta wskazała siebie i Jacintę i stanowczym tonem oświadczyła:

– Mimi i Missy-Dokkta.

Dla podkreślenia, że to koniec dyskusji, zrobiła zdecydowany ruch ręką. Wówczas Jacinta ją sobie przypomniała.

– Mimi leciała ze mną samolotem do Hagen – powiedziała przez ramię do Jonaha. – Czego chce?

– Mówi, że synowa wodza rodzi i że są jakieś trudności. Lepiej idź z nią.

Jacinta poszła za Mimi do namiotu na skraju obozu. Gdy słodkawy zapach krwi i płynu owodniowego uderzył ją w nozdrza, domyśliła się, czego się może spodziewać.

Młoda kobieta leżąca na pośladku z trawy jęknęła cicho i czując kolejny skurcz, zaczęła przec. Między jej nogami widać było pośladki niemowlęcia wielkości męskiej pięści.

Serce podeszło Jacincie do gardła – poród pośladkowy, i na dodatek wcześniak. Wdzięczna była Jonahowi za niedawną lekcję. Zastanawiała się, o ile tygodni poród jest przyspieszony. Nie wszystko naraz, uspokajała się w duchu. Rozejrzała się, w czym mogłaby umyć ręce. Oczywiście w namiocie nie było nawet miski z wodą, więc wytarła dłonie o bluzkę, westchnęła i przystąpiła do badania.

Maleńki noworodek był siny.

– Szybko, szybko – ponaglała Mimi.

Jacinta uśmiechnęła się do półprzytomnej kobiety, by dodać jej otuchy, i uklękła na ziemi. Wówczas zrozumiała, na czym polegał kłopot. Chłopczyk rozdził się brzuszkiem do góry, lecz główka zatrzymała się w kanale rodnym.

Delikatnie dotknęła fałdy na szyi noworodka. Była pewna, że pępowina owinęła się wokół jego szyi.

– Odwróć dziecko – mruzczała do siebie – i jeśli się da, zdejmij pętlę z głowy.

Niestety, pępowina była mocno napięta i jedynym rozwiązaniem jest przecięcie jej. Na samą myśl o braku zacisku, by zatamować upływ krwi, Jacinta się wzdrygnęła.

– Macie sznurek? Potrzebny mi kawałek sznurka albo czegokolwiek do zawiązania pępowiny, i nóż.

Na migi pokazała Mimi, co zamierza zrobić. Wówczas Mimi popytała zebrane kobiety. Jedna z nich

wyjęła skądś groźnie wyglądający nóż i wręczyła go Jacincie. Sznurka nie miały. Jacinta chciała krzyknąć ze złości, ale się opanowała. Spokojnie. Myśl konstruktywnie. Obejdiesz się bez sznurka.

Ruchem ręki przywołała Mimi, pokazała, jak ma chwycić pępowinę i mocno ścisnąć. Jeśli pępowina matki zacznie krwawić, nic groźnego się nie stanie, lecz jeśli płód się wykrwawi, będzie to oznaczało śmiertelne niebezpieczeństwo. Szybkim ruchem przecięła przewód i uwolniła szyję dziecka z pętli. Potem przekręciła je buzią do dołu i wymęczone maleństwo wysliznęło się jej na rękę. Natychmiast zawiązała pępowinę raz, potem drugi, i przystąpiła do reanimacji.

Owinęła noworodka kocem i zaczęła energicznie nacierać, by pobudzić oddychanie. Słabiutkie kwilenie zostało przywitane nagłym wybuchem entuzjazmu ze strony kobiet i nawet matka otworzyła oczy i uśmiechnęła się, zanim popadła w otępienie.

Nie ciesz się zbyt wcześnie, pomyślała Jacinta, widząc teraz, że dziecko urodziło się przynajmniej o sześć tygodni za wcześnie i w tych prymitywnych warunkach jego szanse na przeżycie stoją pod dużym znakiem zapytania.

Nagle z krocza kobiety trysnęła krew. Jacinta szybko położyła synka na piersiach matki i czekała na wydalenie łożyska. Jednak upływ jasnej krwi bardzo ją zaniepokoił.

Tylko spokojnie. Zaczęła energicznie masować podbrzusze kobiety, aż czerwony strumień się zmniejszył i w końcu ustał. Zdażyła tylko otrzeć jej

krocze, by sprawdzić, czy tkanki są nienaruszone, gdy krew trysnęła na nowo. Nie dostrzegła żadnej widocznej przyczyny ponownego krwotoku, zapewne obkurczanie macicy postępuje zbyt wolno.

– Masuj tutaj. – Pokazała Mimi, co ma robić.

Sama wytarła ręce o brzeg koca i zajęła się dzieckiem. Pod warstwą białej mazi płodowej, która niemal zaklejała mu oczy, małe twarzyczka noworodka pomarszczyła się. Jednak poza niewielką masą ciała, wszystko wydawało się w porządku. Gdy chłopczyk zakwilił, Jacinta na migi pokazała matce, by starała się wycisnąć mu siarę do buzi. Jeśli noworodek ma jakiegokolwiek szanse, to potrzebuje właśnie ciepła i odrobiny siary co godzina.

Przysiadła na chwilę na ziemi i wówczas jej wzrok padł na zakrwawiony nóż. Rozejrzała się ostrożnie i pochyliła ku leżącej kobiecie. Wyciągnęła lewą rękę, delikatnie dotknęła jej brzucha, prawą zaś wymacała drewniany trzonek. Ostrożnie wsunęła nóż pod skarpetkę.

Widząc, jak Papuaski zajmują się matką i noworodkiem, Jacinta pomyślała, że jej rola jest skończona. Unikając wzroku Mimi, odsunęła się na bok. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże zdobycz Jonahowi. Podniosła się z klęczek, wygięła w łuk, by rozciągnąć mięśnie pleców. Rozglądając się dookoła, dostrzegła małą dziewczynkę przyglądającą się jej nieufnie. Uśmiechnęła się do niej, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby nie nadużyła ich zaufania i niczego im nie ukradła.

Dziewczynka skierowała wzrok na but Jacinty,

potem odwróciła głowę. Jacinta poczuła, że ze strachu żołądek podjeżdża jej do gardła. Czekwała na najgorsze. Kobiety jednak zaczęły jej dziękować, a Mimi, wskazując młodą matkę, przedstawiła:

– Nina.

– Gratuluję ci synka – rzekła Jacinta.

Potem Mimi wzięła ją za rękę i wyprowadziła. Po drodze Jacinta znowu na migi pokazała Mimi, że chce umyć ręce w strumieniu. Papuaska kiwnęła głową na znak pozwolenia i poszła za nią nad brzeg.

Wartko płynąca, kryształowo czysta i lodowata woda obmyła jej dłonie z krwi. Jacinta westchnęła z rozkoszą, zagłębiając palce w piaszczyste dno, by wyczyścić paznokcie. Ochlapała twarz, lecz zanim zdążyła gruntowniej się umyć, Mimi postukała ją w plecy i zdecydowanie nakazała powrót do namiotu.

Jonaha nie było. Domyśliła się, że zabrano go do chorego. Mimi zostawiła ją samą i na szczęście nie uwiązała do masztu. Jacinta rozejrzała się, gdzie mogłaby ukryć nóż, gdyby kobieta wróciła i chciała szukać zguby.

Z pewnym trudem wykopała dołek u podstawy masztu i wcisnęła nóż w podłoże aż po czubek rękojeści, lecz nie na tyle głęboko, by Jonah nie mógł go wyciągnąć, nawet gdyby mieli związane ręce. Na wierzch nasypała odrobinę ziemi i wygładziła. Ledwie się z tym uporała i otrzepała dłonie, do namiotu wkroczyła Mimi w towarzystwie strażnika i spojrzała na nią oskarżycielsko. Kazała Jacincie odwrócić się i dokładnie ją obszukała. Ponieważ jej ubranie było poplamione, zakrwawiona skarpetka nie wzbudziła

podejrzeń. Uspokojona, chociaż niezadowolona, że nie znalazła noża, Papuaska wyszła.

Kiedy kilka minut później strażnicy wepchnęli Jonaha do namiotu, Jacinta, nie czekając na gest zachęty z jego strony, rzuciła się mu w objęcia. Otoczył ją ramionami, a ona westchnęła z ulgą i ukryła twarz na jego piersi. Równomierne bicie jego serca dodawało jej otuchy. Na razie są bezpieczni.

– Też się cieszę, że cię widzę – usłyszała tuż nad uchem. – Do czego byłaś im potrzebna? – Wsunął jej palec pod brodę i uniósł jej twarz ku sobie. – Nic ci nie jest?

– Teraz już nic. – Wywinęła się z jego objęć i nawet spróbowała się uśmiechnąć. – Miałam ci coś do powiedzenia, ale cię nie było. – Urwała i przygryzła wargę. – Kiedy nie wracałeś, zaczęłam się denerwować. A potem oni przyszli i zaczęli mnie obmacywać, bo szukali noża i trochę się wystraszyłam i...

– Noża? Jakiego noża? – przerwał jej.

Typowy mężczyzna. Chce, żeby od razu przystępować do rzeczy. A mnie rozsadza duma, że przechytryłam wroga!

– Noża, który ukradłam i zakopałam tu przy maszynie, żebyśmy mogli dziś w nocy przeciąć sznur – wyjaśniła.

Jonah porwał Jacintę w ramiona, wyściskał, potem odsunął ją od siebie i spojrzał jej w twarz. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzi, lecz jego oczy były pełne ciepła.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać. – Jego pocałunek

był delikatny, lecz świadczący o tym, że stała się mu bardzo bliska. – Same miłe niespodzianki – szepnęła. – Skąd wzięłaś ten nóż?

Jacinta opowiedziała mu przebieg porodu. Jego entuzjastyczne pochwały nie zdołały osłabić emocji rozbudzonych pocałunkiem.

– Jak czuje się syn wodza? – spytała, chcąc się skoncentrować na czymś innym.

Zobaczyła, że wyraz oczu Jonaha się zmienił.

– Obawiam się, że sprawa jest przesądzona, chociaż nastąpiła lekka poprawa. Ale to się często zdarza.

Jacinta kiwnęła głową. Wiele razy sama widziała taki nagły zwrot. Pacjenci w stanie krytycznym pozornie odzyskiwali świadomość, lecz potem bardzo szybko przychodziło ostateczne załamanie.

– Jak sądzisz, ile nam zostało czasu?

Jonah spojrział jej głęboko w oczy. Zasługuje na prawdę, lecz nie chciał jej niepotrzebnie martwić.

– Tuma umrze dziś w nocy, najdalej jutro. Moment ucieczki musimy wybrać bardzo starannie. Chodzi o to, żebyśmy zyskali kilka godzin przewagi, a wówczas Papuasi nie zaryzykują pogoni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kilka godzin po zmierzchu, gdy nocne ptaki zaczęły swoje wrzaskliwe nawoływania, w obozie zrobił się ogromny zamęt. Nagle rozległ się rozpaczliwie zawodzący śpiew samotnej kobiety, do którego dołączały kolejne głosy, oplakujące czyjąś śmierć. Jonah podkraść się do wejścia do namiotu i nastawił ucha, chcąc usłyszeć, o czym mówią strażnicy.

W pewnej chwili pokiwał głową, jak gdyby zyskał potwierdzenie tego, o czym już wiedział.

– Tuma nie żyje. – Zbliżył się do Jacinty i objął ją, chcąc jej dodać otuchy.

– Kiedy... po nas przyjdą? – wybąkała.

Jonahowi serce krwawiło na widok przerażenia w jej oczach, lecz wiedział, że na jego twarzy także maluje się strach.

– Wkrótce.

Nie było czasu na obmyślanie sposobu obrony czy stawienia oporu. Kłapa namiotu otworzyła się gwałtownie i jeden z wojowników dał im ręką znak, by oboje wyszli. Szarpał ich i ponaglał, dźgając ostrym końcem dzidy.

Z dziwnym uczuciem przemierzali obóz. Tu i ówdzie paliły się ogniska, a kobiety z dziećmi, zbite w grupki, lamentowały przed namiotami. Wojownicy

o kamiennych obliczach patrzyli wrogo na białych lekarzy, którzy nie pomogli synowi wodza.

Namiot wodza wypełniał odór gnijącego ciała. Ojciec z pochyloną głową czuwał przy zwłokach syna. Gdy weszli, wygłosił długą tyradę przeciwko Jonahowi, który z beznamiętnym wyrazem twarzy czekał, aż skończy. Jacinta wysilała umysł, by choć trochę zrozumieć z tej przemowy. Słowa, jakie udało jej się wyłowić, nappełniły ją przerażeniem.

Zerknęła na Jonaha. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, miała więc nadzieję, że może źle zinterpretowała groźby. Gdy w końcu przemówił, rozpacz wodza z powodu śmierci Tummy wybuchnęła ze zdwojoną mocą. Jonah mówił spokojnym, opanowanym tonem, starannie dobierając słowa, jak gdyby zwracał się do marudnego pacjenta. W pewnej chwili przerwał, objął Jacintę i przyciągnął do siebie.

Wódz wzruszył ramionami, splunął i chrząknął, potem odwrócił się od nich. Strażnik, który ich przyprowadził, ruchem ręki nakazał im iść ze sobą.

– Powiedz, co z nami będzie – szeptem poprosiła Jacinta.

– Wódz postanowił, że o świcie umrzemy.

Coś tu się nie zgadzało.

– Słyszałam, jak mówił „teraz”.

Jonah uśmiechnął się ponuro.

– Owszem, ale oświadczyłem, że zasługujemy na przynajmniej jedną noc razem.

Coś w sposobie, w jaki wymówił słowo „razem”, musiało stanowić klucz do zrozumienia, dlaczego wódz odstąpił od pierwotnej decyzji. Dziwne to

wszystko, myślała, przechodząc przez opustoszały teraz obóz.

Jonah z podziwem patrzył na jej dumnie wyprostowane plecy, gdy kroczyła przed strażnikiem. Uświadomił sobie z bólem, ile dla niego znaczyła. Zasluguje na kogoś lepszego ode mnie, pomyślał, ale cóż, teraz już za późno.

Może wciąż jeszcze wierzy, że wymyślę dla nas jakiś ratunek? Zacisnął pięści w bezsilnym gniewie. Żaden pomysł nie przychodził mu do głowy. Muszę zebrać siły przed ostateczną walką, chociaż teraz, gdy wyrok śmierci zapadł, wódz z pewnością każe wzmocnić strażę.

– Musimy uciekać – rzekła Jacinta, gdy znaleźli się w namiocie.

Jakże pragnął ją pocieszyć! Miała jeszcze tyle do zaoferowania światu i jako lekarka, i jako kobieta. Po raz kolejny pożałował, że zabrał ją na tę wyprawę. W szpitalu byłaby bezpieczna. Gotów był siebie poświęcić, by tylko ją uratować. Na niego nikt nie czekał, a ona ma rodzinę. Na samym początku poprosił wodza, by ją puścił, a jego zatrzymał. Wódz jednak był nieugięty. Dzisiaj proponował wszystko, co mu tylko przychodziło na myśl – pieniądze, leki – Papuas jednak był żądny krwi za śmierć syna. Gdy Jonah milczał, wybuchnęła:

– Więc się poddajesz? Będziemy tu siedzieć i czekać, aż przyjdą i nas zamordują? To jakiś obłąd! Naprawdę nic nie da się zrobić?

Jonah wzruszył ramionami.

– Możemy rzucić się na nich, ale zanim zdążymy

przebiec kilka kroków, dopadną nas. Wolałbym nie splamić sobie rąk ich krwią bez powodu. Nawet jeśli nas nie zwiążą, ucieczka będzie utrudniona, ponieważ wzmocnią strażę. Może tuż nad ranem wojownicy zdrzemną się odrobinę i wtedy spróbujemy? Ale teraz, po śmierci Tумы, będzie znacznie trudniej.

– Dlaczego mieliby nas dzisiaj nie związać? – zdziwiła się. – Przecież wczoraj nas zwiążali.

– Czy to ważne?

Unikał jej wzroku. A może powinien powiedzieć jej, że dlatego, iż wódz zgodził się, by zanim słońce wzejdzie, uczynił ją swoją żoną? Jonah nie wiedział, co go skłoniło do wystąpienia z taką prośbą, lecz dzięki temu zyskali kilka godzin życia.

– Jedyłą szansę będziemy mieli dopiero wtedy, kiedy obóz pograży się we śnie – zauważył.

Nie dodał, że prawdopodobieństwo, aby wszyscy Papuasi spali, jest bardzo niewielkie. Żaden strażnik nie zaryzykuje gniewu pograżonego w rozpacz woźdza, zwłaszcza że już raz zawiedli. Jonah czuł, że musi zebrać myśli, zwalczyć inercję, jaka zaczęła go ogarniać. Zeszłej nocy nie zmrużył oka, bał się, że tubylcy wtargną do namiotu i zabiorą Jacintę, żeby się nią zabawić.

– Mamy trochę czasu, zanim zaczniemy myśleć o zrobieniu jakiegoś kroku. Na razie zostawiaj nas w spokoju.

Jacinta spojrzała na niego podejrzliwie.

– Skąd wiesz?

– To ja jestem od zadawania pytań – zaczął się z nią droczyć.

– W tym wszystkim jest coś podejrzanego – rzekła z namysłem. – Chcą nas zabić, ale nawet nas nie zwiążali. I dlaczego czekają z egzekucją do świtu? Ty coś przede mną ukrywasz...

Jonah spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się słabo.

– Zgadłaś – przyznał.

Na tym polega cały problem, Jacinta jest zbyt inteligentna, żeby dać się oszukać.

– Czego mi nie powiedziałaś?

– Że jesteś nieustępliwa i uprzykrzona i wspaniała. Że jesteś świetną lekarką i że mnie przerażasz.

– Teraz już mógł otwarcie przyznać się do tego.

– Ostatnia osoba, którą kochałem, zginęła tutaj, w tym kraju – ciągnął. – Nie mogę znieść myśli, że nie zdołam cię uratować. Powiedziałem wodzowi, że musi nam darować jedną noc, że jest nam to winien, bo uratowałaś mu wnuka, i się zgodził.

Jacinta przygryzła wargę, przełknęła łzy, które napłynęły jej do oczu, gdy słuchała jego słów.

– Mam szansę dostać takiego całusa jak wczoraj? Bardzo potrzebuję odrobiny pocieszenia, a ty wspólnie potrafisz poprawić mi nastrój.

Jacinta zamrugła powiekami. On tylko udaje, że się ze mną droczy, pomyślała, a w rzeczywistości bardzo mnie potrzebuje. Jonah mnie potrzebuje! Trudno było jej to pojąć, trudniej niż nauczyć się rozumieć pidżyn. Czy to znaczy, że mu na mnie zależy? Teraz przynajmniej wiem, że moje uczucia nie są jednostronne.

Nagle przypomniały jej się słowa Jonaha wypowiedziane na samym początku: „ostatnia osoba, którą

kochałem”. To znaczy, że teraz znów kogoś pokochał. Mnie?

Jonah rozpostarł ramiona.

– Chodź. Pocałuj mnie.

Zabrzmiało to niemal jak rozkaz. W innym czasie, w innym miejscu opierałaby się, rozkoszowała chwilą, przedłużała cudowny początek ich wzajemnej miłości, może nawet zaczęła się z nim przekomarzać. Ale teraz każda chwila była cenna i z westchnieniem ulgi przytuliła się do niego.

– W innych okolicznościach nie uległabym tak łatwo, wiesz? – szepnęła, przytulając się do niego mocniej.

– Będę z niecierpliwością wyczekiwał takiej okazji – obiecał i musnął wargami jej usta.

Ogarnęła ich fala wzruszenia oraz uniesienia, i zapomnieli o swoim nieszczęściu.

Nagły okrzyk przed wejściem do namiotu przywołał ich do rzeczywistości. Odskoczyli od siebie. Strażnik odsłonił klapę i położył na ziemi owoce na liściu, obok postawił kubek wody. Jacinta z przerażeniem wpatrywała się w Papuasa, lecz on nawet na nich nie spojrział i szybko się wycofał. Ukryła twarz na piersi Jonaha. Powoli uspokajała się, serce zaczęło jej bić równym rytmem.

– Straciliśmy tyle czasu – szepnęła. – Tak niewiele nam już pozostało.

– Powinniśmy coś zjeść, żeby nie opaść z sił.

– Dlaczego nas karmią, skoro chcą nas zabić?

Jonah przykucnął i zaczął rozdzielać owoce.

– To gest kurtuazji.

– Wolalabym, żeby byli mniej kurtuazyjni, za to nas oszczędzili.

– Ja też.

– Nie rozumiem cię – westchnęła. – Znowu się zmieniłeś. Co tu jest grane?

– Jestem tak zmęczony, że ledwo patrzę na oczy.

Wówczas dopiero zrozumiała. Ciężar, jaki dźwigał na barkach, lęk, głównie o nią, stres i napięcie, gdy łamał sobie głowę, jak wybrnąć z sytuacji, zupełnie go przybiły. Kucnęła przy nim.

– Zjemy owoce, potem położymy się obok siebie, trochę się prześpisz, a ja będę czuwała.

– Zalecenie lekarza?

– Bezapelacyjne. Musisz odpocząć.

Pół godziny później, z głową opartą na jej kolanach, Jonah zasnął. Wyraz napięcia zniknął z jego twarzy. Jacinta oparła się plecami o maszt namiotu i wsłuchiwała w odgłosy życia obozowiska. Strażnicy co kilka minut burczeli coś do siebie.

Rozejrzała się po ciemnym namiocie, szukając natchnienia. Jej wzrok padł na plecak, do którego już wcześniej spakowała trochę leków na wypadek ucieczki. Może tam znajdzie coś, co podda jej jakiś pomysł?

Zaczęła w myśli wyliczać ich atuty.

Numer jeden – Jonah. Doświadczony, odważny, zna okolicę i przeciwnika. Miała nadzieję, że gdy się wyśpi, będzie na tyle wypoczęty, by opracować plan ucieczki.

Numer dwa – nóż. Coś, o czym porywacze nie wiedzą.

Numer trzy – apteczka. Znajdowały się w niej rzeczy, których przedtem nie brała pod uwagę, ale zaraz może naprawić swój błąd.

Wyciągnęła rękę i ostrożnie, by nie zbudzić Jonaha, złapała za pasek plecaka i pociągnęła go ku sobie. Bezszelestnie zaczęła wyciągać z niego wszystkie rzeczy po kolei i układać na ziemi obok nogi.

Tabletki do odkażania wody, środek przeciw malarrii i fiolka soli na pijawki leżały na samym wierzchu. Następnie opaska uciskająca, kaniule do kroplówek, pojemnik z solą fizjologiczną, plastry z opatrunkiem, jałowe gaziki i bandaże. Mały aparat do mierzenia ciśnienia z rękawem i stetoskop mogłyby się przydać, ponieważ składają się z kilku części i niektóre z nich na pewno można wykorzystać.

Sięgnęła aż na samo dno i znalazła latarkę, o której kompletnie zapomniała, oraz zamykaną na zamek błyskawiczny saszetkę z ampułkami i tabletkami: środki znieczulające, przeciwbólowe, obniżające ciśnienie krwi.

Gdyby udało się zastrzykiem odurzyć strażnika, mogliby przeciąć brezent z tyłu i wysłiznąć się z namiotu. Zaczęła wymyślać rozmaite warianty ucieczki. Czas płynął.

Gdy Jonah się obudził, namiot pogrążony był w mroku, lecz on na pamięć znał rysy Jacinty i widział je tak wyraźnie, jak gdyby był środek dnia. Wyczuł, że intensywnie myśli, marszcząc te swoje wspaniałe brwi.

– Połóż się przy mnie – odezwał się.

Jacinta wyciągnęła się na ziemi i oparła mu głowę

na ramieniu. Zastanawiał się, od czego zacząć. Wiedział, że ma ostatnią szansę otworzyć przed nią serce.

– Nasza ucieczka może nie dojść do skutku – zaczął. – Jest bardzo prawdopodobne, że nie dotrzemy do domu. Są pewne rzeczy, które musimy sobie powiedzieć, zanim tobie albo mnie stanie się cokolwiek złego.

Słowa Jonaha położyły kres jej heroicznym wizjom.

– Co się z tobą dzieje? Poddajesz się?

– Oczywiście, że nie i będę cię bronił aż do utraty życia. Jeśli nadarzy się okazja, skorzystamy z niej, ale teraz chciałbym porozmawiać z tobą o nas i o czymś, czego nie można zmienić, obojętnie, co wydarzy się rano. – Ujął jej twarz w dłonie. Ich oczy spotkały się w ciemnościach. – Kocham cię. Jeszcze nigdy żadnej kobiecie tego nie wyznałem. Kocham twoją siłę i słabości, twoją urodę i zadziorność. – Uśmiechnął się i przytulił ją do siebie. – Kocham cię całą.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. To było zbyt tragiczne i zbyt zdumiewające.

– Ale moment wybrałaś na wyznania! Za kilka godzin umrzemy, a ty mówisz, że mnie kochasz. Wolalabym móc przynajmniej przez kilka godzin się tym nacieszyć.

– Przestań. Chcę się z tobą kochać, ale chcę też, żeby wszystko odbyło się jak należy. Nie chcę wykorzystywać sytuacji ani dewaluować czegoś, co jest piękne. Pragnę, żebyś została moją żoną. Tu, w tym ciemnym namiocie, tylko my dwoje wobec Boga.

Umilkł. Jacinta wiedziała, że mówi poważnie.

Przyznanie, że może się im nie udać stąd wydostać, nie przyszło mu łatwo. Jonah zaczął gładzić wnętrze jej dłoni.

– Wiesz, że cię kocham! Nigdy nie sądziłem, że pokocham kogoś tak jak kocham ciebie, a odnalezienie takiej miłości, mimo ironii naszego położenia, trzeba uczcić. Winien jestem to i tobie, i sobie, bo powinniśmy uszanować więź, jaka nas połączyła. Póki żyjemy. Czy dzisiejszej nocy zostaniesz moją żoną?

Słowa Jonaha wzruszyły ją do łez. Nawet nie marzyła o małżeństwie z nim. Uwięzieni, skazani na śmierć, mieli teraz dokonać ceremonii prostej, lecz pełnej symboliki czytelnej tylko dla nich obojga.

Już wcześniej sobie uświadomiła, że kocha Jonaha, i zadreślała się myślą, jak ich miłość sprawdzi się w codziennym życiu. Ale teraz nie było już szans na codzienne życie. Znajdowali się w namiocie, pośrodku wrogiego obozu i od śmierci dzieliło ich tylko kilka godzin. Może umrzeć jako Jacinta McCloud albo jako Jacinta Armstrong – żona jedyne go mężczyzny, którego pokochała. Przynajmniej umrzemy razem. Spojrzała na niego. Tak, nie ulega wątpliwości, że łączy ich silna więź.

– Nie wiem, czy nasze małżeństwo sprawdzi się w prawdziwym życiu, ale kocham cię całym sercem i ślub z tobą jest dla mnie zaszczytem – oznajmiła.

Jonah ujął obie jej ręce. Zwróceni twarzami do siebie, uklękli obok masztu. Gdyby spojrzeli w górę, w prześwicie zobaczyliby nad sobą gwiazdy. Pierwsze ranne ptaki obudziły się już i zaczęły nawoływać. Chociaż słońce jeszcze nie wstało, noc pojaśniała.

Głos Jonaha zabrzmiał w mroku, cichy, lecz mocny i pewny. Na jego dźwięk Jacintę przeszedł dreszcz.

– Ja, Jonah Armstrong, tu, w tym namiocie, w dżungli w górach Nowej Gwinei, biorę sobie ciebie, Jacinto McCloud, za małżonkę i ślubuję ci trwać przy tobie w dobrych i złych chwilach, w zdrowiu i chorobie aż do śmierci.

Potem ona powtórzyła słowa przysięgi. Gdy kończyła, dłonie Jonaha zacisnęły się mocniej na jej dłoniach. Zdjął pierścionek siostry i wsunął na jej palec.

– Będiesz nosić ten pierścionek, dopóki nie kupię ci prawdziwej obrączki? – spytał.

Oboje wiedzieli, jak nikłe są szanse na spełnienie tej obietnicy.

– Będę zaszczyczona – szepnęła.

– Mogę pocałować pannę młodą?

– Byłaby bardzo rozczarowana, gdybyś tego nie uczynił.

– Do usług, pani Armstrong. – Jonah zbliżył twarz do jej twarzy. Drgnęła. Marzyła o tym. Pragnęła tego. Miała nadzieję, że jej brak doświadczenia nie będzie mu przeszkadzał. – Boisz się czegoś? – spytał.

– Tylko tego, że nie zdołam cię zadowolić. – Spuściła głowę. – Nie jestem bohaterką. Przeraża mnie myśl o śmierci. – Objęła go za szyję i dodała: – Ale znam sposób na odpędzenie strachu.

Jonah przywarł do niej ustami, a gdy rozpiął jej koszulę, poczuła na skórze chłód nocy. Położyli się na posłaniu z własnych ubrań.

Jonah uniósł się na łokciu i wolną ręką zaczął

gładzić jej ciało, potem całować miejsca, które pieściły jego palce. Zadrzała z pożądania. Odwracała głowę to w jedną stronę, to w drugą, zagryzała wargi, tłumiąc jęk rozkoszy. W końcu Jonah spojrział jej głęboko w oczy. Wstrzymała oddech, a gdy poczuła go w sobie, uniosła się mu na spotkanie. Nigdy nie zapomni smaku jego skóry na języku i poczucia jedności, nawet przez tak krótką chwilę. Ogarnęła ją radość, narastało w niej uniesienie. Z ust Jonaha wyrwało się jej imię. Teraz już razem wznieśli się na szczyt.

Potem, wyczerpani, leżeli objęci i szeptali o swoich najskrytszych marzeniach, a nawet o tym, że w nocy tuż przed śmiercią mogli stworzyć nowe życie. Kiedy nastał świt, ubrali się i czekali na swoich oprawców.

Nagle kłapa namiotu odsunęła się, lecz zamiast groźnych wojowników do środka wtargnęła Mimi i żywo gestykulując, kazała Jacincie iść za sobą.

Jacinta słyszała, jak Jonah domaga się wyjaśnień i jak kobieta rzuca mu przez ramię odpowiedź, lecz gdy się obejrzała, zobaczyła tylko, że strażnik, grożąc dzidą, wpycha jej ukochanego z powrotem do namiotu.

Mimi zaprowadziła ją tam, gdzie poprzednio. Wbrew jej obawom to nie nowo narodzone dziecko, lecz owdowiała matka potrzebowała pomocy. Nina rzucała się na ziemi, przewracała oczami, jej ciałem wstrząsały konwulsje. Potrzebne leki zostały w namiocie. Jacinta odwróciła się do Mimi i rękami narysowała w powietrzu plecak.

– Torba! Szybko!

Mimi wybiegła. Jacinta wołała za nią, żeby sprwadziła też do pomocy Jonaha, lecz miała niewielką nadzieję na spełnienie tej prośby.

Przyklęknęła, mocno chwyciła chorą za ramiona i obróciła na bok, układając ją w bezpiecznej pozycji. Niestety, bez leków nic więcej nie mogła zrobić.

Pomyślała, że zapewne przyczyną przedwczesnego porodu był stan przedrzucawkowy. Zauważyła, że w ciągu ostatnich kilku godzin szczyła twarz kobiety napuchła i możliwe, że ciśnienie krwi bardzo wzrosło. O uszkodzeniach nerek wołała nawet nie myśleć.

Tymczasem Mimi wróciła z plecakiem, lecz bez Jonaha.

Chora przestała się rzucać, z trudem jednak chwyciła ustami powietrze, co oznaczało koniec ataku. Spiesząc się, by zdążyć podać jej kroplówkę ze środkiem obniżającym ciśnienie i zapobiegającym drgawkom przed rozpoczęciem następnego, Jacinta wezwała Mimi i kazała jej przytrzymać rękę Niny, żeby mogła zrobić zastrzyk dożylny.

Przez następne pół godziny obserwowały w napięciu, czy leki zadziałają. W końcu skurcz naczyń mózgowych ustąpił i chora zasnęła. Jacinta wręczyła Mimi dwa listki tabletek na obniżenie ciśnienia i poleciła podawać je trzy razy dziennie. To było wszystko, co mogła zrobić.

Gdy wyszły z namiotu, skierowały się prosto nad strumień, a Jacinta pomyślała, że Mimi znowu pozwoli jej się umyć. Zatrzymała się, postawiła na brzegu plecak i ochlapała ramiona. Kobieta jednak

zachowywała się dziwnie. Zerknęła za siebie i gorączkowymi ruchami ponagliła Jacintę, mamrocząc:

– Iść, iść jak strumień. Most. Droga. Potem Mimi wrócić.

Jacinta wpatrywała się w nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Mój towarzysz. Nie mogę uciekać bez niego.

– On nie żyć. Mimi widziała.

– Nie wierzę! – Jacinta obejrzała się w kierunku obozu. Zobaczyła grupkę mężczyzn pochylających się nad leżącym na ziemi człowiekiem. Coś ścisnęło ją za gardło. – Nieprawda!

– Widziała. Krew na głowa. Ty słuchać, ty żyć. Mimi szybko wracać. Zaraz.

Jacinta miała wrażenie, że kobieta mówi do niej z drugiego końca tunelu. „On nie żyć”...

Tymczasem Mimi już zniknęła w dżungli. Jacinta schyliła się po plecak.

– Szybko, szybko – nawoływała Papuaska.

Biegając za nią na złamanie karku, Jacinta myślała tylko o Jonahu. Może Mimi się pomyliła? Gałęzie drzew uderzały ją w twarz, potykała się o wystające korzenie, lecz nie czuła bólu. Łzy ciekły jej po policzkach. Straciła poczucie czasu. Nagle Mimi zatrzymała się i wyciągnęła rękę przed siebie.

– Droga tam. Iść, jak księżyc pokaże – powiedziała i zniknęła.

Jacinta stała na skraju dżungli. Jedynymi dźwiękami, jakie słyszała, był jej własny świszczący oddech, trzask gałązek pod nogami uciekających zwierząt i krzyki ptaków.

Wyszła na bitą drogę. Pragnęła rzucić się na ziemię, zwinąć w kłębek i zasnąć, a potem obudzić się i przekonać, że wszystko to był tylko koszmarny sen.

Obejrzała się za siebie. Nigdy nie odnalazłaby drogi powrotnej do obozowiska. Przypomniała sobie, jak Jonah przekonywał ją, by skorzystała z każdej okazji do ucieczki, że w pojedynkę i on będzie miał większe szanse.

A jeśli żyje? Jeśli jest ranny i nie może poruszać się o własnych siłach? Jeśli potrzebuje pomocy?

Spojrzała w niebo na ledwo widoczny sierp księżyca. Na sztywnych nogach ruszyła przed siebie. Nie miała wyboru, lecz wiedziała, że nigdy nie daruje sobie tego, że uciekła sama.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Jonah odzyskał świadomość, nagi siedział oparty o pień drzewa. Obok, bacznie go obserwując, stała stara kobieta, Papuaska. Zastanawiał się, czy to jej zawdzięcza, że wciąż jeszcze oddycha i czy to ona pozbawiła go ubrania. Ból pulsujący w rytm oddechu rozsadzał mu czaszkę.

Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny ani dlaczego znajduje się w dżungli. Próby przypomnienia sobie czegokolwiek wzmagały tylko ból.

Dalsza droga przez dżunglę do Pudjip była długa i wyczerpująca. Kilkakrotnie przewracał się na ziemię i gdyby nie pomoc Papuaski, załamałby się i zrezygnował. Gdy w końcu dotarli do bram misji, usłyszał tylko przerażony okrzyk strażnika i natychmiast znów stracił przytomność.

Gdy się ponownie przebudził, otaczały go znane odgłosy szpitalnego życia. Bezskutecznie usiłował odtworzyć w pamięci wydarzenia ostatnich dni. Czasami wydawało mu się, że słyszy cichy szept kobiety powtarzającej te same słowa:

– Jonah? Słyszysz mnie? – W jej głosie było coś kojącego, lecz gdy usiłował przypomnieć sobie jej twarz, zjawy zniknęła.

Pamiętał jeszcze, że spytał ją o pierścionek Melin-

dy, lecz wówczas mężczyzna na sąsiednim łóżku zaczął krzyczeć i Jonah otworzył oczy. Wówczas uświadomił sobie, że znajduje się w dużej sali szpitala w Pudjip.

Jakiś impuls kazał mu spieszyć choremu z pomocą, lecz gdy tylko spuścił nogi i dotknął stopami posadzki, podbiegła do niego Carla.

– Proszę się położyć. Doktor Ford zaraz przyjdzie. Proszę odpocząć.

Jonah posłusznie wykonał polecenie, a pielęgniarka zajęła się jego sąsiadem. Po chwili rzeczywiście zjawił się Chuck Ford. Widząc, że Jonah odzyskał przytomność, przysiadł na jego łóżku.

– Cześć! Cieszę się, że żyjesz – zaczął.

– I ja też, Chuck. Co mi się stało? Co robiłem w dżungli? – dopytywał się Jonah.

– Cztery dni temu w drodze do Sepiku zostałeś porwany przez Papuasów. – Amerykanin starannie dobierał słowa, a Jonah odniósł wrażenie, że stara się go oszczędzać. – Pamiętasz coś?

Zamknął oczy. Starał się przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich dni. Niestety, w głowie miał kompletną pustkę.

– Dziś jest czwartek, tak? – Chuck potwierdził skinieniem głowy. – To było łatwe, bo tydzień ma tylko siedem dni, więc nie cieszę się, że mi się udało.

– Spróbuj podać datę – zachęcał kolega.

Jonah popatrzył chwilę na prześcieradło, którym był przykryty, potem podniósł wzrok i rzekł:

– Pamiętam Boże Narodzenie. Mamy koniec grudnia?

Chuck pokiwał głową, jak gdyby uzyskał potwierdzenie swoich podejrzeń, i unikając wzroku Jonaha, sprostował:

– Jest czwarty marca.

Jonaha ogarnęła panika. Wysiłał umysł, by przypomnieć sobie coś ogromnie ważnego, lecz bez rezultatu. Siłą woli opanował się i rzeczowym głosem spytał:

– Ile czasu mnie nie było?

– Cztery dni.

– To znaczy, że w ciągu tych czterech dni wydarzyło się coś, co wymazało z mojej pamięci aż trzy miesiące, tak?

– Otrzymałeś potężny cios w głowę. Na prześwietleń widać rysę na kości czaszki. Nie powinno to powodować większych dolegliwości, lecz przez kilka tygodni latanie małym samolotem jest wykluczone.

– Był ktoś ze mną, kiedy zostałem porwany?

– Doktor Jacinta McCloud z Sydney. Lekarka wolontariuszka. Wróciła już do Australii. Powiedziała jej, że zostałeś zabity. Była wstrząśnięta.

– Miała jakieś obrażenia? Jak się wydostała?

– Czuje się dobrze. Jakaś stara Papuaska pomogła jej uciec. Zaprowadziła do drogi, a tam natknął się na nią właściciel pobliskiej plantacji.

Jonah raptownie usiadł na łóżku.

– Ze mną też była stara kobieta. Powiedziała, że znalazła mnie w dżungli, ale nie wiedziała, co tam robiłem. Co się z nią stało?

– Nikogo takiego nie widzieliśmy. Strażnik twierdzi, że wyczołgałeś się z dżungli sam.

Jonah ukrył twarz w dłoniach. Nazwisko Jacinta McCloud nic mu nie mówiło, a Papuaska na pewno jest już daleko stąd. Na szczęście amnezja, jaka go dotknęła, jest tylko częściowa i nie zapomniał, kim jest ani gdzie pracuje. Musi cierpliwie czekać, aż pamięć powróci.

W ciągu następnych tygodni szybko odzyskał siły, chociaż musiał od nowa uczyć się historii choroby pacjentów, którzy traktowali to jak dobry dowcip, że Dokkta ich nie pamięta. Tak się niefortunnie złożyło, że Chuck Ford kończył swój pobyt w Pudjip i przez jakiś czas Jonah znowu miał zostać ze wszystkim sam.

Wobec takich kłopotów mniej martwił się luką w pamięci, a gdy w środku nocy męczyły go koszmary, starał się je odpędzać i koncentrować na czekających go rano obowiązkach. Jednak poczucie emocjonalnej pustki go nie opuszczało.

Wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy dziup z plantacji kawy zabrał ją z drogi – przesłuchanie przez papuańską policję, nawet wszechogarniająca żalobę w szpitalu w Pudjip na wieść o śmierci Jonaha – Jacinta pamiętała jak przez mgłę. Lot do Sydney, załatwienie przez znajomego Iana McClouda z ambasady, spotkanie z ojcem i jazda jego samochodem do Burry także zlewały się w jej świadomości w jedno.

Dopiero spotkanie z Noni, jej serdeczny uścisk i zapewnienia, że jest już bezpieczna, zapamiętała wyraźniej. Serce jej krwawiło z tęsknoty za Jonahem.

Były momenty, że żałowała, iż dała się Mimi wyprowadzić z obozowiska, lecz gdy przytulała policzek do świeżo powleczonej poduszki, cieszyła się, że ocalała i że jest już w domu. Potem znowu budziły się w niej wyrzuty sumienia, że nie zawróciła, by umrzeć wraz z ukochanym.

Nikomui nie powiedziała o potajemnie zawartym małżeństwie, ponieważ nie chciała, by ludzka ciekawość zbeczcęściła owo wspomnienie. Próbowwała wyobrazić sobie Jonaha tu, w domu ojca, albo w jej własnym domu w Sydney. Pracowaliby w jednym szpitalu w Pickford, jadaliby w eleganckich restauracjach...

Nie, nie, Jonah nie chciałby takiego życia, cały czas myślałby tylko o tym, że jest potrzebny w Pudjip.

Kilka tygodni później, już po powrocie do Sydney, pogodziła się z myślą, że Jonah umarł wierny swoim ideałom. Nie bacząc na niebezpieczeństwa, do końca pełnił upragnioną misję niesienia pomocy potrzebującym.

Minęło jeszcze kilka tygodni i zaczęła odczuwać pewnego rodzaju dumę, że dane jej było dzielić z nim te bezcenne chwile. Nie przestawała jednak rozpaczać z powodu straty, serce krwawiło jej tak samo jak na początku.

Pewnego dnia, siedem tygodni po powrocie, tuż po przebudzeniu poczuła zawrót głowy i nudności. Oszołomiona, przyłożyła dłoń do brzucha. Dziecko Jonaha. Gdyby przed wyjazdem do Papui-Nowej Gwinei ktoś jej powiedział, że zaryzykuje i zdecyduje się na macierzyństwo, nazwałaby go głupcem.

A teraz była szczęśliwa. To jedno może zrobić dla Jonaha. Dzięki temu on jej już nigdy nie opuści. Stworzy ich dziecku kochający dom i wychowa syna lub córkę w kulcie ojca.

Objęła rękami brzuch. Nagle panika ścisnęła ją za gardło. Nie, postanowiła, nie będę myślała o tym, że i to dziecko może mieć wrodzoną wadę serca, jak Oliwia. Była pewna, że dziecko Jonaha urodzi się zdrowe.

Czas mijał, i Jacinta postanowiła wrócić do pracy w Pickford.

Podczas pierwszego dyżuru na podjeździe dla karettek zatrzymała się taksówka. Przerażony kierowca, żywo gestykulując, wołał:

– Ona rodzi w moim samochodzie!

Jacinta zdusiła uśmiech, nie wiedząc, czy mężczyzna bardziej martwi się o pasażerkę, czy o auto.

Gdy razem z pielęgniarką prowadzącą wózek szpitalny podeszły do taksówki, Jacinta zobaczyła młodą kobietę leżącą na tylnym siedzeniu. Wsunęła się do samochodu i przysiadła obok niej.

– Cześć! Mam na imię Jacinta i jestem lekarką.

Kobieta spojrzała na nią ogromnymi, rozszerzonymi z przerażenia oczami, jęknęła, potem zaczerpnęła łyk powietrza i odpowiedziała:

– Stephanie Mills. Pani doktor, ja już rodzę...

Jacinta poklepała ją po ręku.

– Wszystko będzie dobrze. Co czujesz?

Stephanie znowu wciągnęła haust powietrza w płuca, przełknęła ślinę i odpowiedziała:

– Czuję skurcze i nie wiem, czy przeć, czy nie.

Kilka miesięcy temu Jacinta omal by nie zemdląła ze strachu i czekała na ekipę z oddziału położniczego, lecz po pobycie w Pudjip miała więcej zaufania do sił natury.

– Miejmy nadzieję, że to główka, a nie pępowina, lecz muszę zobaczyć. Mogę? – Spojrzała na kobietę i uśmiechnęła się do niej, a Stephanie ruchem ręki wyraziła zgodę. – Dziecko rodzi się nóżkami do przodu. Widzę też pośladki. Zawieziemy cię do środka i postaramy się, żeby maleństwo przyszło na świat w bardziej komfortowych warunkach, dobrze?

W odpowiedzi Stephanie odetchnęła. Jacinta przywołała pielęgniarkę z wózkiem i wspólnymi siłami pomogły rodzącej przesunąć się na plecach do tyłu i wydostać z samochodu.

Odbierając kolejny w życiu poród pośladkowy, Jacinta miała w pamięci instrukcje Jonaha. Łzy żalu napłynęły jej do oczu.

Wkrótce ekipa z oddziału położniczego zabrała matkę z dzieckiem przytulonym do piersi na piętro. Jacinta ściągnęła zakrwawione rękawiczki, wrzuciła je do kosza i podeszła do zlewu. Łokciem podważyła dźwignię kranu, dłonie i nadgarstki wsunęła pod strumień wody, jak gdyby chciała zmyć z siebie cały smutek. Gdy sięgała po ręcznik, spojrzała na pierścionek Melindy. Nigdy go nie zdejmowała. Nagle kątem oka spostrzegła, że pielęgniarka daje jej jakieś znaki.

Szybko wytarła ręce i przeszła przez hol. Właśnie na wózku szpitalnym wwożono kolejnego pacjenta.

Zwolniła kroku. Przystanąła. Chyba mam omamy, pomyślała.

Strużki potu spływały po policzkach chorego, silne dreszcze wstrząsały jego ciałem.

– Dobrze się pani czuje, pani doktor? – zaniepokoił się ratownik z karetki.

Jacinta spojrzała na niego niewidzącymi oczami.

– Jonah? Tutaj? – spytała. Jej własny głos dochodził jak gdyby z bardzo daleka.

Nagle pociemniało jej przed oczami. Siłą woli opamiętała się i spojrzała na nosze.

– Według dokumentów znalezionych w portfelu pacjent nazywa się... – mężczyzna sprawdził w karcie – Jonah Armstrong.

– Przepraszam – wyszeptała z trudem. – Powiedziano mi, że doktor Armstrong zginął z rąk rebeliantów w Papui-Nowej Gwinei w marcu tego roku.

– Nic o tym nie wiem. Zabraliśmy go z domu w Bondi.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, zanim osunęła się zemdlna na posadzkę, była przerażona twarz ratownika. Gdy odzyskała przytomność, zobaczyła pochylonego nad sobą zaniepokojonego dyrektora administracyjnego.

– Co się stało? – spytała.

– Zemdlałaś. Pielęgniarki twierdzą, że to z przepracowania. Pojedź do domu i odpocznij.

Teraz Jacinta coś sobie przypomniała.

– To prawda, że doktor Armstrong jest tutaj? Że żyje?

Kolega potwierdził kiwnięciem głowy.

– Zgadza się. Przeżyłaś wstrząs i nie nadajesz się teraz do odwiedzin. – Pomógł jej usiąść. W głowie jej zawirowało, krew odpłynęła z twarzy. – On też jest za słaby, żeby przyjmować gości. Pielęgniarka odwiezie cię do domu i wróci taksówką. Zadzwoń, kiedy twój doktor Armstrong poczuje się na tyle dobrze, że będziesz go mogła zobaczyć.

„Mój” doktor Armstrong? Raczej nie.

Westchnęła, spuściła nogi z łóżka.

Jonah żyje. Niewiarygodne. Cudowne. Czegoś jednak nie rozumiała. Dlaczego się z nią nie skontaktował? Jakie mogły być przyczyny tego, że nawet nie próbował zawiadomić jej, że ocalał? Po tym wszystkim, co razem przeszli!

Czuła straszliwy zamęt w głowie. Wstała i ruszyła za pielęgniarką do samochodu.

Czyżby Jonah zakładał, że ona wie, iż jest bezpieczny? Czy też myślał, że zostawiła go na pewną śmierć? Zupełnie nie mogła tego wszystkiego pojąć.

Po wyjściu koleżanki, która pomogła jej położyć się do łóżka i zadbała, by niczego jej nie brakowało, Jacinta próbowała uporządkować myśli.

Dlaczego się ze mną nie skontaktował? Jak mógł sądzić, że nie będę się o niego martwiła?

Znajdowała tylko jedno wytłumaczenie – pewnie żałował tego, czego ona nigdy nie będzie żałowała, tej przysięgi małżeńskiej. Po uwolnieniu przeraziła go myśl, że przysięgli sobie miłość i wierność, że się kochali, że zapewniał ją, że nigdy jej nie opuści.

A teraz ona spodziewa się dziecka. Położyła dłoń na brzuchu, łzy popłynęły jej po policzkach. Dyrektor

ma rację, za wcześnie wróciła do pracy. Jeszcze nigdy podjęcie decyzji nie przychodziło jej z takim trudem.

Ogarnęło ją zmęczenie i zniechęcenie. Prześpię się godzinę, a po przebudzeniu umysł będę miała jaśniejszy, pomyślała. Jonah jest tak samo ciężko chory jak wówczas, gdy po raz pierwszy trafił do szpitala. Nie ma sensu domagać się widzenia z nim wcześniej niż dopiero jutro rano.

Jedno w tym wszystkim było niczym światełko w tunelu: Jonah żyje!

Męczyła go wysoka gorączka. Skórę miał rozpaloną, bolał go każdy mięsień. Wizje Melindy i kobiety, którą ochrzcił mianem Aniołem, majaczyły mu pod powiekami. Dręczyły go wyrzuty sumienia, że ani jednej, ani drugiej nie zdołał ocalić. Obrazom z wędrowni przez dżunglę towarzyszyło przemożne pragnienie odnalezienia kogoś, lecz nie wiedział kogo.

Gdy następnego dnia obudził się, było już późno. Ból mięśni osłabł, koszmary przestały go męczyć. Podciągnął się wyżej na poduszkach.

Ciche pukanie zwiastowało gościa. Ostrożnie odwrócił głowę w stronę drzwi.

W progu stała młoda kobieta z wyrazistymi, ciemnymi brwiami. Była tak blada, że pomyślał, iż doznała nagłego wstrząsu. A może mu się tylko tak wydawało, bo ciemne włosy i czarne oczy podkreślały jasną karnację.

Gdy napotkała jego pytający wzrok, zastygła w bezruchu, a łzy popłynęły jej po policzkach. Zniecierpliwiona, otarła je dłonią.

– Pani do mnie? – wychrypiał.

Nie odpowiedziała. Zaczął się zastanawiać, po co w ogóle przyszła, lecz był zbyt zmęczony. Opadł na poduszki.

– Pomyliła pani pokoje?

– Nie – odparła i wyprostowała ramiona, jak gdyby mobilizowała siły przed czekającym ją nieprzyjemnym zadaniem. – Nie pomyliłam pokoi.

Pomyślał, że może ostatni pacjent, który tu leżał, zmarł, a ona o tym nie wie.

– Przepraszam, ale nie znam pani.

Kobieta uniosła brodę, potem ściągnęła swoje wspaniałe brwi i przedstawiła się:

– Jacinta McCloud. W marcu, w Papui-Nowej Gwinei spędziliśmy dwa dni w niewoli u tubylców.

– Aha, w marcu – powtórzył skonsternowany. – Więc to pani jest doktor McCloud. – Zauważył, że wzdrygnęła się, gdy wymawiał jej nazwisko. O co, do diabła, tu chodzi? – Podczas pobytu w Sydney miałem zamiar panią odwiedzić. Liczyłem na pomoc w odtworzeniu pewnych wydarzeń. – Urwał i wskazał łóżko, na którym leżał. – Niestety, malaria nie wybiera.

– Dlaczego zdziwił się pan, że to było w marcu?

– Bo marzec, razem ze styczniem i lutym, uleciały mi z pamięci. Obdukcja wykazała, że otrzymałem silny cios w głowę podczas mojego... – urwał i poprawił się – naszego porwania i nie pamiętam niczego, co wydarzyło się po Bożym Narodzeniu. Bardzo się cieszę, że nareszcie panią spotkałem.

Usiadł, wyciągnął rękę. Starał się udawać, że nie

czuje się tak słaby jak nowo narodzony kociak. Jacinta podeszła do niego i dotknęła jego dłoni. Poczuł, jak emanujące z niej ciepło dociera do miejsca, które zbyt długo było zimne. Z minuty na minutę cała ta sytuacja stawała się coraz dziwniejsza.

– Odpoczywaj, Jonah – rzekła.

Sposób, w jaki wymówiła jego imię, poruszył w jego pamięci jakąś strunę, lecz zanim zdołał się skoncentrować na tej myśli, Jacinta pchnęła go delikatnie na poduszki.

– Jestem taka szczęśliwa, że cię widzę – zaczęła i przygryzła wargę. Zauważył, że była bardzo wzruszona – ale to nie jest odpowiedni moment na rozmowę. Może kiedy wyjdiesz ze szpitala, spotkamy się u ciebie albo u mnie...

– Bardzo chętnie – ucieszył się. – Byłem już kiedyś u ciebie w domu? – zapytał.

Jacinta uśmiechnęła się na to wspomnienie, a Jonah stwierdził, że mógłby bez końca wpatrywać się w jej twarz. Kąciki ust same zawinęły mu się do góry. Ta kobieta wzbudzała jego nieodpartą sympatię. Zdecydowanie warto kontynuować tę znajomość, pomyślał. Może dzięki niej moja podświadomość się obudzi?

– Tak. Jeden raz, i to krótko. Porozmawiamy o tym później, a tymczasem wracaj do zdrowia.

Wyprostowana, z wysoko uniesioną głową wyszła z pokoju. Jonah długo wpatrywał się w zamknięte drzwi. Serce biło mu mocniej, lecz nie wiedział dlaczego. Nie przypominał sobie twarzy Jacinty, lecz było coś w jej głosie, co wywoływało rezonans gdzieś głęboko w jego pamięci.

Uderzyła go jej oryginalna uroda i zastanawiał się, czy podczas pobytu doktor McCloud w Papui-Nowej Gwinei nie uległ pokusie i nie zaczął jej podrywać. Miał nadzieję, że nie, bo świadczyłoby to o kompletnym braku wychowania. Myśl, że mogło między nimi dojść do zbliżenia, w ogóle nie przyszła mu do głowy.

Westchnął ciężko. Był bardzo zmęczony. To wszystko jest zbyt skomplikowane jak na jego wątłe siły.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jacinta usłyszała dzwonek do drzwi i serce jej zamarło. Przypomnił jej się moment, gdy wczoraj w szpitalu dotknęła ręki Jonaha i uświadomiła sobie, że to nie zjawa, że on naprawdę ocalał i żyje.

W nocy nie mogła zasnąć. Przygniatający jej barki ogromny ciężar winy i rozpachy rozprysł się na tysiące kawałków, a ona czuła się lekka i przepelniona radością, chociaż najtrudniejsze było jeszcze przed nią.

Jak powiedzieć Jonahowi, że spodziewa się dziecka, jeśli on nie pamięta nawet tego, że się znają? Jak opisać mu ową noc w prowizorycznym namiocie, gdy ze świadomością, iż oboje niedługo umrą, potajemnie złożyli przysięgę małżeńską, a potem się kochali? Co będzie, jeśli Jonah pomyśli, że go oszukuje, że zastawia na niego sidła?

Przyspieszyła kroku, podeszła do drzwi i otworzyła je. Na progu stał Jonah z palcem na przycisku dzwonka.

– Cześć! – powitała go. Jak cudownie widzieć go żywym, pomyślała i uśmiechnęła się promiennie. Zauważyła, że Jonah wyglądał na odrobinę zaskoczonego tak serdecznym przyjęciem i złękła się, że się spłoszył. – Cieszę się, że cię widzę, bo sądziłam, że

nie żyjesz – wyjaśniła. – Wejdz, proszę. Zaraz ci wszystko wytłumaczę – dorzuciła. Patrzyła, jak zdeorientowany przystaje w holu. Widziała, że niczego sobie nie przypomina. – Tędy – powiedziała, prowadząc go do salonu. – Napijesz się czegoś?

– Poproszę szklankę wody.

Bezwiednie usiadł na tym samym miejscu co poprzednim razem. Jacinta nalała mu wody i podała.

– Nie krępują cię rozmowy o utracie pamięci? – zaczęła ostrożnie.

Jonah potrząsnął głową.

– Przeciwnie. Przynoszą ulgę. Niewiele osób to w ogóle interesuje. Z początku bardzo mnie to przygnębiało, ale w Pudjip było tyle pracy, że nie miałem czasu zamartwiać się swoim stanem. Wyjaśniono mi, że amnezja fragmentaryczna mogła oczywiście zostać spowodowana uderzeniem w głowę, lecz nie tylko. Istnieje podejrzenie, że podświadomie tłumię w sobie wspomnienia, bo się ich boję. W takim przypadku mogę nigdy nie przypomnieć sobie wydarzeń z tego okresu. – Urwał i spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. – Domyślasz się, o czym tak usilnie staram się zapomnieć?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czas spędzony w niewoli był straszny, lecz nie przychodziło jej do głowy nic aż tak przerażającego, by Jonah bał się to wspominać. Chyba że chodzi o miłość do niej...

– Nie wydaje mi się – mówiąc, starała się panować nad głosem – ale to ty wzięłaś na siebie odpowiedzialność za naszą ucieczkę i to ty znacznie lepiej ode mnie zdawałaś sobie sprawę z grozy sytuacji. Dla mnie

najstraszniejsza chwila to ta, kiedy Mimi, stara Papuaska, której zawdzięczam życie, powiedziała mi, że zostałeś zabity.

Jonah pochylił się do przodu.

– Stara kobieta to wspólny mianownik. Najprawdopodobniej to właśnie ona ocaliła również mnie. Doprowadziła pod bramę szpitala i zostawiła. – Zdezorientowany, potrząsnął głową. – Powiedziałaś, że byłaś przekonana, że nie żyję. Dlaczego nikt nie zawiadomił cię, że dzień po twoim wyjeździe do Australii się odnalazłem?

Jacinta zacisnęła dłonie, by opanować zdenerwowanie.

– Podejrzewam, że nie było okazji. Gdy usłyszałam o twojej śmierci, nie chciałam ani minuty dłużej zostać w Pudjip. Wróciłam prosto do Australii i od razu pojechałam do domu ojca i jego drugiej żony, do Burry. – Wzruszyła ramionami. – W Missions Pacific uznali pewnie, że wiem. Przeżyłam kilka strasznych miesięcy. Gdybym wiedziała, że uszedłeś z życiem, wróciłabym jak na skrzydłach.

– Dlaczego?

Bo cię kocham. Bo chciałabym być z tobą, ze względu na ciebie i na siebie, pomyślała.

W milczeniu wpatrywała się w dno szklanki, jak gdyby tam znajdowała się odpowiedź, co przyniesie przyszłość.

– Czułam się winna – powoli zaczęła wymieniać drugorzędne powody, dla których by wróciła. – Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że uwierzyłam Mimi i odeszłam, nie sprawdzwszy, czy mogę coś dla

ciebie zrobić. Chciałam zawrócić, ale ona powtarzała, że cię zabili i już nawet zdarli z ciebie całe ubranie.

Wzdrygnęła się na wspomnienie tamtych straszliwych chwil. Podniosła głowę i spojrzała na Jonaha przeproszającym wzrokiem. Uśmiechnął się do niej słabo.

– Zgadza się. Kiedy odzyskałem przytomność, byłem jak mnie pan Bóg stworzył. – Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. – Osobno mieliśmy większe szanse.

Spojrzała na ich splecione dłonie i lzy napłynęły jej do oczu. Zacisnęła powieki, by je powstrzymać. Nie będzie błagać, aby sobie przypomniął, że mówił, iż ją kocha, i że składając przysięgę małżeńską, trzymali się za ręce. Jakże pragnęła to uczynić! Oswobodziła rękę, wstała, podeszła do okna, wyjrzała na ulicę, ukradkowo otarła oczy.

– Dają jakąś nadzieję, że kiedyś odzyskasz pamięć?

Skrzypienie sprężyn fotela świadczyło o tym, że podniósł się z miejsca. Po chwili poczuła jego ciepłą dłoń na ramieniu. Obrócił ją twarzą do siebie.

– Chyba im dłużej zwlekam, tym mam mniejsze szanse na przypomnienie sobie czegokolwiek. – Ściszył głos, jak gdyby obawiał się odpowiedzi, i zapytał: – Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Nic ważnego – wykrztusiła. Opanowała się jednak, uśmiechnęła szeroko i wyciągnęła do niego prawą rękę. – Żałuję, że nie mogłam ci pomóc.

Jonah był skonsternowany. Spojrzał na wyciągniętą rękę Jacinty i dotknął jej szczupłych palców. Trudno mu było się z nią rozstać. Zamiast potrząsnąć jej dłonią, niemal bezwiednie przyciągnął ją do siebie.

– Będę musiał przyzwycząić się do tej luki w życiorysie – rzekł. – A jeśli moja pamięć potrzebuje impulsu, który by ją pobudził?

Stali wpatrzeni w siebie, próbując odgadnąć swoje myśli. Gdy pochylił się i pocałował ją, westchnęła.

Z chwilą, gdy dotknął ust Jacinty, znalazł się w innym czasie. Zamknął oczy, otoczył ją ramionami, uniósł nad podłogę i mocno przytulił do siebie. Ale jej to nie wystarczyło. Oddała mu pocałunek z takim żarem, że zapomniał, gdzie jest, i dlaczego znalazł się w tym miejscu. W końcu oderwał się od niej i powoli postawił ją na ziemi. Cofnęła się. Gdy spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich łzy. Uniósł rękę i palcem otarł jej policzek.

– Już się kiedyś całowaliśmy, prawda? – Jacinta zakryła usta ręką. – Byliśmy kochankami?

– Tak! – Objął spojrzeniem jej postać, lekko zaokrąglony brzuch i pełne piersi. Zanim zdążył się odezwać, Jacinta energicznym ruchem odwróciła się z powrotem do okna i rzuciła: – Idź już. Tak będzie lepiej.

Jonah zamrugał powiekami. Ale ze mnie prostak!

– Wybacz mi. – Patrzył na jej wyprostowane plecy tworzące jakby zaporę. – Czy mogę cię kiedyś odwiedzić?

Jacinta westchnęła.

– Tak. Nie. Nie wiem... – Zawahała się, a potem stanowczym tonem dodała: – Odejdź, proszę.

Jonah wiedział, że stosunki między nimi są zbyt skomplikowane, by to wszystko tak zostawić.

– Jutro rano zadzwonię.

Jacinta już nic nie odpowiedziała. Po chwili usłyszała oddalające się kroki Jonaha. Zniecierpliwiona otarła łzy. Zła była, że ciąży zrobiła z niej taką płaksex. Zła była na całą tę niepewną sytuację. Miała uczucie, że straciła panowanie nad swoim życiem, że zdana jest na łaskę kapryśnego bożka, który jeszcze nie zdecydował, co z nimi zrobi. A zawsze była taka dumna z tego, że jest panią własnego losu. Musi coś postanowić, musi zdecydować, czy powie mu o dziecku.

I nie tylko jemu. Przecież są jeszcze ojciec i Noni. Westchnęła ciężko.

Jonah mało spał tej nocy. Wspomnienie wahania i bólu, jaki dostrzegł w oczach Jacinty, nie dawało mu spokoju. Nie mógł znieść myśli, że to on stał się powodem jej cierpienia. Może byłoby lepiej, gdyby wrócił do Pudjip?

Coś go jednak powstrzymywało. W krótkich przerwach, gdy udawało mu się zasnąć, dręczyły go koszmary. Biegł przez dżunglę, gałęzie drzew były go po twarzy, węże uciekały spod stóp, potykał się o poskręcane korzenie. Padało, był zziębnięty, słyszał krzyki jakiejś kobiety, lecz nie mógł jej odnaleźć. Rzucił się to w jedną stronę, to w drugą, lecz krzyki zamiast się przybliżać, coraz bardziej się oddalały. Wiedział, że musi do niej dotrzeć, zanim zdarzy się coś strasznego, lecz krzyki ustały. Było za późno.

Otworzył oczy i gwałtownie usiadł na łóżku. Uświadomił sobie, że to był tylko zły sen. Serce waliło mu w piersi jak młot. Drżącą ręką sięgnął po stojącą na nocnym stoliku szklanę.

Tak, to Jacinta jest kluczem do rozwiązania zagadki. Tylko ona pomoże mu wypełnić lukę w świadomości. Jeszcze nigdy nie zbliżył się tak bardzo do tamtych tajemniczych wydarzeń jak dzisiaj. Może jutro, gdy ją znowu zobaczy, przypomni sobie więcej?

Teraz, gdy już wie, że byli kochankami, pojawiło się więcej pytań. Czy nasz romans zaczął się w Sydney, czy w szpitalu w Pudjip, czy w niewoli?

Jak to możliwe, że niczego nie pamiętam? Jak to się stało, że pozwoliłem jej pojechać za sobą do Papui-Nowej Gwinei, gdzie na kobietę taką jak ona czyhają ogromne niebezpieczeństwa? Skoro byliśmy kochankami, to chyba się zabezpieczyliśmy? Wszystkie te ważne pytania wymagały odpowiedzi.

Poszedł na górę do pokoju w wieży i spojrzał na ocean zalany księżycową poświatą. Przeklęty los! Niczego nie pamiętam. Nawet tego, że kupiłem ten dom.

Nie znosił nie panować nad sytuacją, a tu wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Trudno. Może jutrzejszy dzień przyniesie jakieś rozwiązanie.

Jacinta zasnęła dopiero nad ranem. Przejycia wczorajszego dnia ścięły ją z nóg. Co robi, jeśli Jonah oświadczy, że nie chce mieć nic wspólnego ani z nią, ani z dzieckiem? A przecież jakoś będzie musiała to znieść.

W nocy postanowiła walczyć. Walczyć o to, co ich połączyło, ponieważ nie ze swojej winy mogli stracić szansę, jaka się zdarzyła tylko raz.

Powie mu, że go kocha, i że on też wyznał jej miłość. Opowie, co wspólnie przeżyli w niewoli u Papuasów i, zależnie od jego reakcji, zdecyduje, jak dalej postąpi. Lecz gdy później tego samego ranka Jonah zapukał do jej drzwi, niepewność co do przyszłości przeraziła ją.

A jeśli on nigdy mnie nie kochał? Dlaczego patrzy na mnie z taką determinacją? Co postanowił?

– Przemyslałem wszystko, co zaszło między nami wczoraj, i mam kilka pytań – rzekł i zrobił krok naprzód.

Teraz, gdy nadeszła ta chwila, Jacinta nie wiedziała, czy jest gotowa na podejmowanie ważnych życiowych decyzji. Gdy zastanawiała się, czy wpuścić go, czy nie, Jonah wykorzystał jej wahanie, wyminął ją i wszedł do środka. Pełna rezerwy podążyła za nim do salonu.

– Nie robisz wrażenia kobiety, która łatwo godzi się na związek – zaczął, gdy usiedli – więc, skoro doszło między nami do zbliżenia, musiaś mieć powody.

Jacinta zastanawiała się, czy Jonah zdaje sobie sprawę z tego, jak obraźliwe są dla niej jego słowa. Wybaczyła mu jednak, bo wiedziała, że celowo nigdy by nikogo nie zranił.

– Dziękuję za tak pozytywną ocenę mojego charakteru i przyznaję, że owszem, miałam powody – odrzekła.

– Przepraszam. To zabrzmiało okropnie – odparł zawstydzony, lecz ona tylko machnęła ręką na znak, że się nie gniewa. – Chciałbym... – zająknął się skrę-

powany – dowiedzieć się, czy... nasz romans zaczął się w Sydney?

– Nie. Ledwie się znaleźliśmy. W styczniu, kiedy miałeś pierwszy atak malarii, opiekowałam się tobą w szpitalu. Po tygodniu zatelefonowałeś i poprosiłeś, żebym poszła z tobą obejrzeć dom.

– No tak, dom. O tym, że mam dom, dowiedziałem się tylko dzięki temu, że adwokat odszukał mnie aż w Pudjip i zostawił dla mnie wiadomość. Intryguje mnie jednak, dlaczego zwracałem się z taką prośbą do kogoś, kogo praktycznie nie znałem.

Jacinta uniosła brwi.

– I?

– Dlaczego zwróciłem się do ciebie?

– Powiedziałaś, że kiedy sam oglądasz domy, czujesz, że właściciele woleliby, żebyś był z kobietą. Podejrzewam, że to było tylko dla zamydlenia oczu, jak zaproszenie do oglądania zbioru znaczków. Obejrzeliśmy dom, wróciliśmy tu, wypiliśmy kawę i potem już się nie widzieliśmy. Spotkaliśmy się dopiero miesiąc później w Hagen.

– Czyli w Sydney do niczego między nami nie doszło?

– Nie.

Jonah zmrużył oczy.

– A w Pudjip?

– Tam koncentrowaliśmy się na pracy – odrzekła. Przypomniała sobie te wyjątkowe chwile, jakie razem spędzili, i zacieśniającą się między nimi więź. Czy jeden pocałunek to już romans? – W Pudjip nic między nami nie było.

Jonah odchylił się na oparcie fotela.

– Pozostaje więc tylko okres, kiedy nas porwano. Jacinta unikała jego wzroku.

– Poczucie zagrożenia bardzo nas do siebie zbliżyło.

Jonah niecierpliwie kiwnął głową.

– To zrozumiałe, ale musieliśmy czuć coś do siebie już wcześniej. Może teraz, jak się lepiej poznamy, te uczucia wrócą, a z nimi moja pamięć? Opowiedz mi o swoim życiu. Może to odblokuje moją podświadomość.

Jacinta spojrzała na niego w zamyśleniu.

– Wkraczamy w sferę bardzo osobistą. Czym się zrewanżujesz?

Jonah rozłożył ręce, jak gdyby dla zaznaczenia, że nie ma nic do ukrycia.

– Czego chciałabyś się o mnie dowiedzieć?

Jacinta zaczęła wyliczać na palcach:

– O twojej siostrze i w jaki sposób umarła. O twoim dzieciństwie i młodości na misji. I co robiłeś przez ostatnie trzy miesiące.

Jonah wzruszył ramionami, a Jacinta uśmiechnęła się, widząc, jak unika rozmów na swój temat.

– Czy kochaliśmy się dlatego, bo wydawało ci się, że mnie kochasz?

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Zanim spojrzała mu w oczy, wzięła głęboki oddech. Co mu odpowiedzieć? Przypomniała jej się odwaga, z jaką w noc przed ucieczką wyznawał jej miłość. Przecież powinna czerpać siłę z owych wspomnień.

– Mnie nie wydawało się, że cię kocham. Ja

kochałam mężczyznę, z którym mnie porwano. Ale nie obawiaj się. Nie chcę cię unieszczęśliwić. Jeśli tamten mężczyzna zmienił się i już mnie nie kocha, to odejź. – Uniosła dumnie głowę i dodała: – Mimo tego, co nas połączyło w tamtych ostatnich godzinach.

– Dziękuję za szczerość. – Poczula, że tężeją jej mięśnie karku. Przecież zataiła główny powód. – Wy tłumacz mi jednak – ciągnął – dlaczego mam nieodparte wrażenie, że nie powiedziałaś mi całej prawdy?

Odwróciła wzrok.

– Nie wiem. Skąd takie przypuszczenia?

– Byłaś ze mną niewiarygodnie szczera, ale wiem, że jest coś jeszcze. – Znów uciekła spojrzeniem w bok. – Widzisz? Właśnie o to mi chodzi. Jesteś szczera i otwarta, ale kiedy unikasz jakiegoś tematu, nie patrzysz na mnie.

– Może się nudzę?

– Albo coś ukrywasz?

Czula, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli. Ich rozmowa prowadzi donikąd. Wiedziała, że dłużej nie wytrzyma tej wiwisekcji.

– Lepiej idź już. Próbowałam być szczera, ale nie dałeś mi żadnego powodu, żebym uwierzyła, że obnażam się przed tobą z dobrego powodu.

– Przykro mi. Wiem, że jest ci bardzo ciężko. – Przeszedł palcami włosy. – Nigdy nie miałem zamiaru cię zranić. Nie rozumiem, dlaczego pozwoliłem, żeby sprawy między nami zaszły tak daleko. Mam trzydzieści siedem lat, jestem za stary na zmianę przyzwyczajęń. Kocham moją pracę, a w Papui-

-Nowej Gwinei jest zbyt niebezpiecznie, żeby narażać rodzinę. – Urwał, a po chwili ciągnął: – Po śmierci siostry przysiągłem sobie, że nigdy nie narażę życia żadnej kobiety, która z miłości do mnie chciałaby zamieszkać tam ze mną. Nie wiem, co myślałem w niewoli, ale teraz muszę stosować się do zasad, jakim byłem wierny przez dziesięć lat. Nasz związek nie miałby przyszłości.

Koniec. Kropka. Jacinta zamknęła oczy, by zebrać myśli. Mniej więcej to samo mówiła sobie w namiocie kilkanaście tygodni temu.

Przypomniała sobie, że kocha tego mężczyznę, ale on nie kocha jej na tyle mocno, by narażać się na ból i wyrzuty sumienia, gdyby cokolwiek jej się stało. Poniosła sromotną klęskę. Poczowała nudności, rozbolała ją głowa. Nie, w tym stanie nie nadaje się do dalszej rozmowy z Jonahem. Przygarbiła ramiona. Potem otworzyła oczy i ostatni raz spojrzała na ukochanego. Ściągnęła z palca pierścioneł, który od niego dostała:

– To należy do ciebie – rzekła.

Jonahowi oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Skąd go masz? Sądziłem, że Papuasi mi go ukradli razem z ubraniem.

– Dałeś mi go na przechowanie. – Jacinta spojrzała w bok. – A teraz już idź. Trafisz do wyjścia?

Zostawiła go w salonie i pobiegła na górę. Bezpieczna w swojej sypialni, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o framugę. Czuła się rozbita psychicznie i fizycznie. Rozmowa z Jonahem wytrąciła ją z równowagi. Zatęskniła za Noni i ojcem. Zapragnęła mieć przy sobie rodzinę, zapragnęła uciec od Jonaha, od

konieczności podejmowania decyzji, co do słuszności których nie mogła mieć pewności.

Jonah zszedł z werandy i spojrzał na leżący na dłoni sygnet. Dobrze, że wyszedł na powietrze, bo nagły ból zaczął rozsadzać mu czaszkę i zrobiło mu się niedobrze. Mocno zacisnął palce, aż skrzydła motylka wbiły mu się w ciało. Potem wsiadł do samochodu i powoli ruszył do domu. Po omacku trafił do łóżka, położył się i naciągnął kołdrę na głowę, by światło nie raziło go w oczy.

Modlił się, by to nie był kolejny atak malarii, chociaż tym razem objawy były inne. Grymas bólu wykrzywił mu twarz. Jonah z głośnym jękiem zapadł się w ciemność.

Gdy kilka godzin później odzyskał przytomność, czuł, że jest bardzo bliski przypomnienia sobie wszystkiego. Walczył ze sobą, by jeszcze się nie obudzić. Wydawało mu się, że Jacinta jest przy nim, że kładzie mu dłonie na piersi, przesuwa niżej, rozpala w nim pragnienie...

– Jesteś taka piękna – szepnął i ustami musnął jej ramię.

– Kochaj mnie – mówiła. – Żebym wiedziała, że istniejeś realnie i że oboje tutaj jesteśmy.

Objęła go i złączeni uściskiem, osunęli się na gruby dywan. Teraz widział ją nad sobą – czarne włosy spływały po obu stronach jej twarzy, a płonące żarem oczy patrzyły wprost na niego. Gdy uniósł dłonie, by jej dotknąć, zniknęła. Otworzył oczy i zrozumiał, że to Jacinta była owym aniołem z jego snów.

Ból głowy zelżał, lecz serce krwawiło mu teraz jeszcze mocniej. Choć pamięć nie wróciła, rozumiał, że Jacinta uosabia wszystko, czego pragnie u kobiety, i wszystkie marzenia o miłości, które poświęcił dla swych zasad.

Wiele godzin później, gdy nareszcie zdołał zasnąć, dręczyły go koszmary związane ze śmiercią Melindy. Rankiem nabrał pewności, że decyzja jak najszybszego powrotu do misji jest słuszna.

Obudził się o świcie. Ból głowy niemal całkowicie ustąpił, pozostawiając uczucie otępienia. Odczekał, aż zawrót głowy minie, i spojrzął na zegarek.

Było bardzo wcześnie, lecz sądził, że Jacinta już wstała. Kiedy wkładał buty, zawahał się.

Czy po wczorajszych nietaktach z mojej strony w ogóle zechce ze mną rozmawiać? Koniecznie muszę zawiadomić ją, że wyjeżdżam do Papui. Jestem jej to winien.

Dom Jacinty robił wrażenie opuszczonego. Jonah zadzwonił do drzwi, lecz nikt nie otworzył. Cofnął się i spojrzął w okna. Wszystkie rolety były opuszczone.

Wyjechała czy udaje, że jej nie ma? Co za absurd! Jacinta nie należy do osób, które chowałyby się za kotarami i udawały, że ich nie ma.

Wyjechała. Uciekła od niego. Może to i lepiej, pomyślał, odwrócił się i wsiadł do samochodu. W domu zaczął szykować się do powrotu do Pudjip.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy po trwającej sześć godzin podróży do Burry Jacinta wysiadła z samochodu, rodzina – Ian McCloud, Noni i jej ciotka Win – czekała na nią w komplecie.

– Witaj w domu – powiedział ojciec i pocałował córkę w czubek głowy.

Noni przytuliła ją, a Win objęła i okręciła się z nią dookoła. Jacinta poczuła, że przyjechała we właściwe miejsce. W salonie natychmiast opadła na najbliższy fotel i pozwoliła wszystkim skakać koło siebie.

– Musisz odpocząć i nabrać trochę ciała, moje dziecko – rzekła jak zwykle ciocia Win.

Noni i Jacinta wymieniły porozumiewawcze uśmiechy. Korpulentna starsza pani znana była z tego, że chciała wszystkich dokarmiać. Natychmiast też pospieszyła do kuchni, by przygotować poczęstunek.

Jacinta spojrzała na ojca i Noni, przytulonych do siebie, siedzących na kanapie naprzeciwko niej. Jak by to było, gdybyśmy siedzieli w ten sposób z Jonahem? – pomyślała mimo woli.

Ciocia Win wróciła z kuchni, a Ian zerwał się, by odebrać od niej tacę, którą postawił na stoliku. Noni nalala wszystkim herbatę, a kiedy już zasiedli, rzekła:

– Skoro jesteśmy wszyscy razem, opowiadaj.

Jacinta westchnęła i odchyliła się na oparcie.

– Znalazłam się w kropce. Nie wiem, jak mam postąpić. Pomyślałam więc, że przyjadę na parę dni do domu i spokojnie poukładam sobie wszystko w głowie.

– I dobrze zrobiłaś – odrzekła Noni. – Ogromnie się ucieszyliśmy z wiadomości, że Jonah się uratował – dodała. – Kiedy zadzwoniłaś z tą wieścią, wprost nie mogliśmy uwierzyć. Widziałaś się z nim, prawda? Jak wygląda?

– Wygląda dobrze – odparła Jacinta i spuściła wzrok. – Nawet wspaniale – dorzuciła. – Kłopot polega na tym, że wskutek uderzenia w głowę ma około trzymiesięczną lukę w pamięci. Nie pamięta ani mnie, ani niczego, co się zdarzyło przed porwaniem.

– Amnezja fragmentaryczna, tak? – Ian wyraźnie się ożywił. Zajęty wybieraniem z patery ciasteczka, nie zauważył ostrzegawczych znaków, jakie posyłała mu Noni. – Bardzo złożone zagadnienie, często nie do wyleczenia. Zazwyczaj chodzi o zablokowanie silnych negatywnych emocji, lęku, traumatycznych wspomnień. Ciebie oczywiście interesuje mechanizm tego procesu, prawda? – Noni i ciocia Win zgromiły go wzrokiem. – O co wam chodzi? – zdziwił się.

– To musiał być dla ciebie straszny cios, kochanie. – Noni zignorowała pytanie męża i zwróciła się do pasierbicy, a ciocia Win pochyliła się i położyła jej dłoń na kolanie. – Większość ludzi odzyskuje jednak pamięć, prawda, Ian?

Tym razem Ian zrozumiał aluzję.

– Oczywiście. Czasami wystarczy drobny incydent albo bodziec wizualny czy nawet słuchowy. Ma jakieś omamy?

Jacinta westchnęła.

– Nie wiem, ale przy najbliższej okazji zapytam. – Urwała, przełknęła ślinę i dodała: – Chociaż nie jestem pewna, czy go jeszcze zobaczę. – Otworzyła usta, jak gdyby chciała coś dodać, lecz spojrzawszy na ojca zrezygnowała.

Noni mrugnęła na męża i nieznacznym ruchem głowy pokazała mu drzwi. Ian uniósł brwi, jak gdyby chciał powiedzieć: „nie rozumiem”, lecz Noni tak uparcie się w niego wpatrywała, że w końcu wstał.

– Przepraszam cię, Jaz – odezwał się – ale przypomniałem sobie, że muszę zadzwonić. To nie potrwa długo.

Ciocia Win również się podniosła.

– Zajrzę do kuchni. Wstawię obiad – rzuciła w przestrzeń i wyszła.

Jacinta spojrzała na macochę i uśmiechnęła się ironicznie.

– Zbyt subtelne to to nie było.

– Twój ojciec nie rozumie subtelnych aluzji – odparła Noni i poklepała miejsce na kanapie. – Chodź tu do mnie, Jaz. – Gdy Jacinta usiadła obok niej, Noni objęła ją serdecznie. – Domyślam się, że nie wszystko nam powiedziałaś...

– Jestem dorosłą kobietą, a zachowuję się jak nastolatka. Rzecz w tym, że go kocham i bardzo cierpię. – Noni pokiwała głową. – Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Cóż... Z mojej strony to było

uczucie od pierwszego wejrzenia. Jonah przyznał to samo, a teraz niczego nie pamięta...

– Moje ty biedactwo! Naprawdę niczego sobie nie przypomina?

– Kiedy mnie wczoraj pocałował, przypomniał sobie, że już się całowaliśmy.

– To brzmi obiecująco.

– I ja też tak pomyślałam – prychnęła. – Ale to jeszcze nie koniec. Jestem w ciąży.

Noni uścisnęła jej dłoń.

– On wie? – Jacinta potrząsnęła głową. – Kolejny dylemat – westchnęła Noni i przytuliła ją. – Za wiele tych przeżyć jak na twoje nerwy, kochanie – stwierdziła. – Postaraj się na jeden dzień zapomnieć o wszystkim, a ja zachowam twoje problemy tu. – Poklepała się po piersi. – Wyśpij się, odpocznij, najedz. Kiedy zregenerujesz siły, spojrzysz na wiele spraw inaczej.

– Nie potrafię.

– Wyśpij się – tłumaczyła Noni. – To samo radzimy tym biednym matkom na porodówce, które są tak zdezorientowane, że kompletnie nie wiedzą, w którą stronę się zwrócić. Zapomnij na chwilę o zmartwieniach.

– Ale ja nie mam kłopotów z pokarmem! – wykrzyknęła zdesperowana Jacinta.

– Jesteś niewyspana i zestresowana. Nie bój się, kłopoty nie znikną, ale będziesz mogła spojrzeć na nie świeżym okiem. Masz nas, może wspólnie coś wymyślimy.

– Brzmi to cudownie.

– I działa. Idź na górę, połóż się. Obudzę cię na podwieczorek, bo potem w nocy nie zaśniesz. Harley na pewno zechce pokazać ci nowy samochód, bo kiedy tylko skończył siedemnaście lat, zrobił prawo jazdy. A jak Nanette się dowie, że jesteś, też będzie chciała się z tobą zobaczyć.

Wstały. Jacinta uścisnęła Noni.

– Dziękuję. Jesteś najlepszą macochą na świecie.

– Ba!

Ian zacisnął pięści.

– Co z niego za lekarz? Robi mojej córce dziecko, kiedy ona pracuje jako wolontariuszka w Trzecim Świecie! – Noni w milczeniu obserwowała, jak mąż miota się po pokoju, i czekała, aż minie mu pierwsza złość. – Czy facet nie widzi, jaką ciężką drogę ta dziewczyna przebyła, żeby zajść tam, gdzie jest dzisiaj? A teraz wróciła do punktu wyjścia.

– Mylisz się, Ian. – Noni uznała, że najwyższy czas się wtrącić. – Jacinta jest znakomitym fachowcem i oboje wiemy, że doskonale się sprawdzi jako samotna matka. Jeśli nie zwiąże się z tym Jonahem, i tak da sobie radę. Problem polega na tym, że kocha człowieka, który nie wie, że też ją kocha.

– Jonah! – wykrzyknął Ian. – Wykończył mi córkę!

Noni wstała, podeszła do męża i położyła mu dłoń na ramieniu, chcąc przerwać tę nerwową wędrówkę po pokoju.

– Nie zapominaj, że droga prawdziwej miłości bywa ciernista. Nie wierzę, żeby Jacinta zakochała się

w człowieku niegodnym jej uczucia. – Całując go, dodała: – Podejrzewam, że są w sobie przynajmniej tak samo zakochani, jak my po tych wszystkich latach.

Ian spojrział na żonę i twarz mu złagodniała:

– Niemożliwe. Tak jak my to na pewno nie – zaprzeczył. – Dobra – ciągnął już poważniejszym tonem – facet nie chciał nabawić się amnezji, a Jacinta z własnej woli poszła z nim do łóżka. Tylko teraz nasuwa się kolejne pytanie: dlaczego nie przyjechał tu za nią?

– Zapewne czuje się tak samo zagubiony jak ona. Dajmy mu czas. Dajmy im obojgu czas. A jeśli się pojawi, proszę, żebyś był dla niego tak czarujący, jak tylko potrafisz, i nie zachowywał się jak rozsierdzony ojciec, który zapomina, że jego córka ma prawie trzydzieści lat.

– Co ja bym zrobił bez ciebie? – spytał retorycznie.

Noni skierowała się do wyjścia, lecz w drzwiach obejrzała się jeszcze i rzuciła:

– Nie wiem, co ty byś zrobił, wiem natomiast, że ja czułabym się zupełnie bezradna.

Posłała mężowi całusa i wyszła.

Gdy następnego dnia rano Jacinta obudziła się, stwierdziła, że odzyskuje poczucie równowagi. Noni przyniosła jej śniadanie, potem przysiadła na brzegu łóżka i spytała:

– No i jak się czujesz, Jaz?

– Lepiej. Postanowiłam wracać do Sydney i skon-

taktować się z Jonahem. Jeśli już wyjechał, pojedę do Papui. Może moja obecność tam na miejscu pomoże mu odzyskać pamięć.

– Co mu powiesz, kiedy go spotkasz?

– Na razie nie wspomnę o dziecku – odrzekła lekko drżącym głosem – bo to mogłoby zaważyć na jego decyzji. Przez kilka tygodni, dopóki ciąża nie stanie się widoczna, mam zamiar wykonywać pracę, do której się zobowiązałam. Chcę udowodnić, że potrafię się nie załamywać. Będę po prostu wdzięczna losowi za to, że Jonah przeżył. – Urwała i spojrzała na Noni. – Reszta zależy już od niego.

– Więc wracasz do Papui i podejmujesz z powrotem pracę w szpitalu, tak? Na pewno tego chcesz?

– Chcę. Pokochałam tamtą pracę i tamtych ludzi. Ale dziecko urodzę w Burze.

Macocha ze łzami w oczach uściśnęła Jacintę. Obie pomyślały o Oliwii.

– Doskonale rozumiem, dlaczego chcesz tak postąpić.

– Jeśli zachoruję, załatwicie mi powrót?

– Jestem pewna, że ojciec i jego znajomi wszystkim się zajmą.

Słyszając warkot silnika dżipa zbliżającego się do Pudjip, Jonah zmarł, a pióro, którym pisał, zawisło nad kartką. Jacinta musiała poruszyć niebo i ziemię, bo on ze swojej strony dołożył wszelkich starań, by została w Australii.

Nie miał pojęcia, jaka była prawdziwa przyczyna jej przyjazdu. Wiedział tylko, że poinformowała

Missions Pacific, iż pragnie dokończyć przerwany kontrakt. Trudno, będzie liczył dni, aż ta tortura się skończy.

Kobieta, którą spotkał zaledwie dwa razy i która zdominowała jego myśli na jawie i we śnie, jest tutaj. Nie wiedział, jak to się stało, ale znalazł się w sytuacji, jakiej przysiągł sobie unikać. Kilka minut później usłyszał lekkie kroki. Gdy Jacinta weszła do pokoju, odłożył pióro.

– Cześć! – Głos Jacinty zabrzmiał od drzwi niczym syreni śpiew. Jonah powoli uniósł głowę.

Była jeszcze piękniejsza niż zapamiętał. Jej ciemne oczy zdawały się zaglądać w głąb jego duszy, a wyraz determinacji malujący się na twarzy świadczył o tym, że obojętnie, co on powie, ona zostanie tu tak długo, jak uzna za słuszne. Musi się z tym pogodzić. Jacinta przyjechała odpracować kontrakt, natomiast jego zadaniem jest zagwarantować jej bezpieczeństwo.

– Witamy w Pudjip, doktor McCloud – rzekł. Wstał, a ona podeszła i wyciągnęła do niego rękę. Nie miał wyboru, nie mógł zignorować tego gestu. Nawet nie wiesz, Jacinto, pomyślał, jakie to niebezpieczne. Westchnął. – Świetnie wyglądasz – dodał.

Rzeczywiście policzki miała zaróżowione, a włosy lśniące. Odrobinę przytyła, piersi jej się powiększyły. Siłą woli oderwał wzrok od jej figury i spojrział przez otwarte drzwi na korytarz. Musi ją stąd wyprowadzić. Bał się, że pozostając z nią sam na sam w tym pokoju, ulegnie magii chwili, tak samo jak stało się to w jej domu, gdy objął ją i pocałował. Od powrotu do Pudjip

coraz trudniej mu było odsuwać od siebie skąpe wspomnienia o Jacincie.

– Pokażę ci szpital i chatę, w której zamieszkaś.

– Ja już tutaj byłam, Jonahu – rzekła cicho.

No tak.

– Wobec tego chodźmy przywitać się z Carlą i Samuelem.

– Samuel powiedział mi, że go specjalnie poprosiłeś, żeby mnie odebrał z lotniska – odezwała się Jacinta, idąc za nim.

Prawda. Kompletnie o tym zapomniał. Nic dziwnego. Pierwszy raz w życiu oszalał na punkcie jakiejś kobiety. Najlepiej będzie, jak od razu zapędzę ją do roboty, postanowił. A tej nigdy nie brakuje.

Jacinta szła za Jonahem i przyglądała się jego potężnym ramionom i szerokim plecóm. Uczucie podniecenia, które starała się w sobie tłumić, znowu się odezwało. Oto mężczyzna jej życia. Cieszyła się, że przyjechała o niego zawalczyć. Wydaje się odrobinę skonsternowany moim pojawieniem się. Może to dobry znak?

Gdy przechodzili przez odział, zrównała się z nim. Rozglądając się dookoła, spostrzegła małego chłopczyka wiercącego się na łóżku i starającego się zwrócić na siebie uwagę.

– Pita! – ucieszyła się, podbiegła do niego, objęła i uścisnęła. – Jakiś ty duży!

– Duży i silny – pochwalił się, prężąc mięśnie.

Jacinta roześmiała się i zmierzwiła mu czuprynę.

– Zaraz do ciebie wrócę. Poczekaj.

Z Sydney przywiozła mały czerwony wóz strażacki,

tak na wszelki wypadek. To uśmiechnięta buzia tego dziecka przypominała jej, dlaczego w ogóle pracują w Papui i dlaczego Jonah wybrał takie życie, a nie inne.

W ciągu kilku następnych godzin podjęła swoje dawne obowiązki, jak gdyby wcale nie wyjeżdżała. Obserwując Jonaha, jego spokój, cierpliwość i troskę o pacjentów, ponownie doszła do wniosku, że jest to właściwy człowiek na właściwym miejscu. Musi go tylko przekonać, że jej miejsce jest u jego boku.

Minęły dwa tygodnie, i zaczęła ubierać się w coraz luźniejsze rzeczy. Nie sądziła, że ktokolwiek zauważy lekką wypukłość jej brzucha, lecz pewnego razu spostrzegła, że Carla w milczeniu kiwa do siebie głową.

Odtąd coraz częściej zostawała z Jonahem sam na sam, ponieważ gdy pracowali we trójkę albo w czwórkę, wpierw Carla, a potem jej mąż, znajdowali sobie jakieś inne pilne zajęcia. Raz nawet pielęgniarka posłała jej porozumiewawczy uśmiech. Ucieszyła się, że ma sprzymierzeńca.

Z czasem Jonah zmienił swój stosunek do niej. Wiedziała, że tak będzie. Kilkakrotnie zażartowali i pośmiali się wspólnie, potem zauważyła, że badając pacjenta, szuka jej wzroku, jak gdyby pytał ją o zdanie. I po to tu była. Nie ze względu na siebie i jej dziecko, lecz dlatego, by razem z Jonahem nieść ciężar obowiązków. Nic jednak nie mówił. Sprawiał wrażenie, jak gdyby uczucia narastały w nim bez jego woli i dlatego bronił się przed nimi.

W trzecim tygodniu jej pobytu w Pudjip nadal tkwili w martwym punkcie. Jacinta kochała Jonaha bardziej niż kiedykolwiek, widziała, że nie jest mu

obojętna, lecz zaczynała się obawiać, że on nigdy nie zmieni swej decyzji.

Problemem była ciąża. Jacinta nie chciała używać dziecka jako oręża przeciwko Jonahowi, lecz doszła do wniosku, że ma prawo wiedzieć, że zostanie ojcem. Niestety, nie udawało jej się znaleźć odpowiedniego momentu na rozmowę. W końcu nadszedł przedostatni dzień jej pobytu w Pudjip. Dłużej nie mogła zwlekać.

Dla Jonaha była to wigilia dnia, którego się lękał i na który czekał z niecierpliwością. Jacinta, mimo luki w pamięci, zdominowała jego myśli. Wiedział, że musi ją odprawić, zanim ulegnie pokusie i weźmie ją w ramiona.

Z podziwem obserwował ją przy pracy. Musiał sobie ustawicznie przypominać, że świadomie wybrał samotność, że wydarzenia z marca tylko wzmogły zagrożenie i utwierdziły go w jego postanowieniu. Jedyne, co mógł zrobić, to unikać przebywania z nią sam na sam.

Tak jak na przykład dziś rano. Gdy tylko wszedł do wspólnej jadalni, Carla i Samuel wstali i zostawili go z Jacintą. Natychmiast zauważył, że zachowywała się jakoś inaczej. Była niespokojna i zdenerwowana.

– Ostatni dzień i wracasz do cywilizowanego świata – zauważył.

Jacinta pomyślała, że spojrzał na nią łagodniej, gdy wspomniał o jej nieuchronnie zbliżającym się wyjeździe, i postanowiła nie czekać dłużej.

– Muszę z tobą porozmawiać – zaczęła. – To ważne. Możemy teraz?

– Oczywiście – odparł, chociaż w jego oczach pojawił się błysk niepokoju.

Niestety właśnie w tym momencie przybiegła Carla i go odwołała. Jacinta westchnęła. Może wieczorem będą bardziej sprzyjające warunki?

Zmierzchało już, gdy do strażnika przy bramie podeszła młoda kobieta i spytała o Missy-Dokkta.

Kiedy zawiadomiono Jacintę, że ktoś chce z nią mówić, spojrziała w drugi koniec sali, gdzie Jonah pochylał się nad pacjentem. Może uda mi się wymknąć niezauważenie, pomyślała. Wiedziała, że byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że rozmawiała z kimś spoza szpitala.

Gdy podeszła do bramy, rozpoznała Ninę, młodą kobietę, której pomogła urodzić synka.

– Twoje dziecko zachorowało? – zapytała.

Nina potrząsnęła głową.

– Mimi. Ona umrzeć, jak Missy-Dokkta nie przyjść.

Jacinta zmarszczyła brwi.

– Przyprawadźcie Mimi do szpitala. Tak będzie lepiej.

– Mimi nie chcieć. Ona bać się kłopot.

– Mimi nie musi się niczego obawiać. Mimi jest moją przyjaciółką.

– Missy-Dokkta sama jej mówić.

Jacinta wzdrygnęła się. Nie była taka głupia.

– Nie pójdę do waszego obozu.

– Nie do obozu. Kawalek. Mimi tam czekać.

– Nie wolno mi wychodzić ze szpitala.

– My szybko wracać.
– Poczekaj, zawołam Dokkta, żeby z tobą porozmawiał.

– Dokkta nie. Missy-Dokkta bezpieczna.

Jacinta przygryzła wargę. Była w rozterce. Mimi uratowała życie nie tylko jej, ale i Jonahowi. Poza tym ufała, że Nina jej nie skrzywdzi. Bardzo chciała pomóc kobietom. Jeśli się pospieszy, Jonah nawet nie zauważy, że wyszła. Z drugiej strony, jeśli się zorientuje, że jej nie ma, zrobi piekło. A niech tam. Miała dość tej jego układności, którą się odgradził od niej niczym murem.

Pobiegła po torbę lekarską.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kilka minut po szóstej Jonah wszedł do jadalni i ze zdziwieniem zobaczył, że miejsce Jacinty jest puste.

– Gdzie doktor McCloud? – spytał.

Carla uniosła wzrok znad salaterki z sałatą, którą nakładała na talerze, rozejrzała się, potem spojrzała pytająco na męża. Samuel wzruszył ramionami i zrobił zdziwioną minę.

– Myśleliśmy, że jest z tobą.

Jonah zerknął na zegarek. Teraz już zaniepokoił się nie na żarty.

– Rozstałem się z nią przed godziną.

– Pewnie jest u siebie. Pójdę zobaczyć – zaoferowała się Carla.

– Nie, nie przerywajcie sobie. Sam pójdę.

Starał się zapanować nad ogarniającą go paniką. Nie ma powodu od razu zakładać, że Jacintę spotkało coś złego, mówił do siebie w duchu. Spóźnia się trochę na kolację, to wszystko. Mnie też to się często zdarza.

Gdy zapukał do drzwi chaty Jacinty, nikt nie odpowiedział. Zapukał ponownie, również bez rezultatu. Zajrzał do łazienki, potem na oddział szpitalny, do izby porodowej, w końcu do izby przyjęć. Nikt jej nie widział. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

Droga do stróżówki wydała mu się najdłuższą drogą, jaką w życiu przebył. Serce waliło mu jak oszalałe. Modlił się, by się nie okazało, że Jacinta wyszła poza teren szpitala.

– Widziałeś doktor McCloud? – spytał dozorcę.

– Missy-Dokkta wyszła z jakąś kobietą.

Stało się. Spełniły się jego najgorsze obawy.

– Wsiadła do samochodu?

– Nie. Poszła piechotą.

Jak Melinda.

Nagle Jonah poczuł, że ból rozsadza mu czaszkę, a żołądek podjeżdża do gardła, zupełnie jak wówczas, gdy Jacinta zwróciła mu pierścionek. Spojrzał na palec, zacisnął dłoń w pięść, aż skrzydełka motylka wbiły mu się w ciało. Ból głowy nasilił się jeszcze bardziej. Jonah wykrzywił usta, jęknął i zemdlał.

Gdy odzyskał przytomność, wydarzenia ostatnich kilku miesięcy jak w kalejdoskopie przesunęły mu się przed oczami z zadziwiającą przejrzystością. Wyjazd do Sydney, atak malarii, poznanie Jacinty, wspólne oglądanie domu, nawet jej pierwszy przyjazd do Mount Hagen. Przypomniały mu się noce spędzone w niewoli i ostatni poranek po ich symbolicznym ślubie.

Sekunda po sekundzie na nowo przeżywał tamte dramatyczne chwile. Serce zaczęło mu bić szybciej i zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy Mimi po raz drugi zabrała Jacintę. Nie ufał tubylcom. Świt, a z nim egzekucja, był zbyt blisko. Musi wyrwać Jacintę z ich rąk, albo stanie się tragedia.

Szybko wykopał nóż, podkraśl się do tylnej ściany

namiotu i rozciął brezent. Teraz czekał, aż Jacinta wróci, by tą drogą natychmiast uciekać. Nagle zjawiała się Mimi.

– Dokkta lady chceć lekarstwa – oznajmiła i chwyciła plecak.

Strażnik gestem nakazał Jonahowi odsunąć się od otworu, żeby kobieta mogła wyjść. To wówczas powiedział, że jak tyko słońce pojawi się na niebie, zabawi się z Missy-Dokkta.

Jonah nie pamiętał, kiedy jego dłonie zacisnęły się na szyi Papuasa. Poczul ostry ból przeszywający mu czaszkę, a pod powiekami zobaczył błyskawice, gdy inny tubylec dzielił go dzidą w głowę. To zapamiętał. I to, że nie zdołał obronić Jacinty. Potem już nic. Następnym obrazem to przebudzenie pod drzewem pod opieką starej Papuaski.

Najwyraźniej wojownik pomyślał, że go zabił. Cokolwiek się stało, zostawili go, a Mimi pomogła mu uciec. Tak jak Jacincie.

Poruszył się na łóżku i uniósł powieki. Jego jedyną myślą było to, że Jacinta, jego żona, jest gdzieś w dżungli, a on musi ją odnaleźć!

– Jonah? Słyszysz mnie?

Jej głos. Odwrócił głowę i ją ujrzał. Uniósł dłoń do ust, a potem objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i spojrzał w oczy. Zobaczył w nich troskę i miłość i lęk przed ponownym odrzuceniem.

Czarne włosy spływały po obu stronach jej twarzy jak w jego śnie, a pierś gwałtownie wznosiła się i opadała jak po szybkim biegu. Usiadł na brzegu łóżka.

– Wróciłaś – szepnął.

– Tak – odpowiedziała. – Zawsze będę wracać, bo każde z nas jest częścią drugiego.

– Dlaczego wyszłaś za bramę?

– Czasem trzeba zaryzykować. – Urwała i pomyślała o tym, że ryzykuje narażenie się na jego gniew i na to, że każe jej wracać do Sydney. – Mimi mnie potrzebowała. Musiałam spłacić dług wdzięczności. Teraz możemy zaopiekować się nią tak, jak ona zaopiekowała się nami.

– A mną też się opiekujesz, jak dawniej?

– Pamięć ci wróciła? – Jonah ściągnął z palca pierścioneł siostry i wsunął na serdeczny palec jej lewej dłoni. – I to też pamiętasz? – zapytała.

– Moja biedna, kochana Jacinta. – Objął ją i przytulił. Po raz pierwszy od miesiący poczuł, że żyje. – Pamiętam wszystko i jest mi strasznie żal, że tyle musiałaś wycierpieć. – Ujął jej dłoń i ciągnął: – Pamiętam, że cię kocham i że pragnę spędzić resztę życia z tobą.

Jacinta uwolniła się z jego objęć i spojrzała na niego. Zobaczył, że chce mu wierzyć, lecz coś ją powstrzymuje.

– Jakie to czarne i przerażające wspomnienia przeszkadzały ci przypomnieć sobie o tym wcześniej? Dlaczego tak bardzo bałaś się pamiętać o mnie?

– Kiedy się dowiedziałem, że wyszłaś za bramę, wstrząs spowodowany wspomnieniem tragicznego losu Melindy usunął blokadę psychiczną wywołaną lękiem. – Urwał i westchnął. – Tamtej ostatniej nocy w niewoli, w miarę zbliżania się świtu i egzekucji,

narastały we mnie wyrzuty sumienia, że ją zawiodłem. Nagle usłyszałem, że strażnicy chcą urządzić na ciebie zasadzkę, kiedy Mimi będzie cię odprowadzać do namiotu. – Znowu urwał i bezwiednie zacisnął palce na jej dłoni. – Musiałem im w tym przeszkodzić. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, było to, że mi się nie udało, że cię nie uratowałem.

Jacinta zawsze wiedziała, że Jonah bardziej niepokoi się o nią niż o siebie. Skoro myślał, że zmarła okrutną śmiercią – tak jak siostra – nic dziwnego, że jego psychika zbuntowała się i że nie chciał wracać do najgorszych wspomnień.

Przypomniała sobie, jak podczas wizyty u niej w domu powiedział, że już nigdy nie narazi na niebezpieczeństwo żadnej kobiety, która go pokocha.

Oswobodziła ręce i spojrzała mu w twarz. Spostrzegła, że zauważył jej niezdecydowanie.

– A gdybyśmy stworzyli rodzinę – zaczęła – co byś zdecydował? Gdzie byśmy zamieszkali? Co z twoim przywiązaniem do Pudjip? Bo jeśli będziesz dalej tutaj pracował, ja zostaję z tobą.

– Rodzinę? Cudownie. Jesteś dla mnie wszystkim. A tutejszej misji mogę pomagać na wiele innych sposobów. W Missions Pacific zawsze chcieli, żebym wygłaszał wykłady propagujące ich działalność i zbierał fundusze. – Przyłożył dłoń do jej policzka i ciągnął: – Chcę dzielić życie z tobą. Przez ostatnie lata tylko egzystowałem i nawet nie śniłem, że spotkam kobietę taką jak ty. Ze swoją wewnętrzną

siłą i humorem sprawiłaś, że na nowo zacząłem zauważać rzeczy, o których istnieniu dawno zapomniałem.

Jacinta ucałowała jego dłoń.

– Będziesz musiał pozwolić mi dzielić z tobą odpowiedzialność i obowiązki. Jako twoja żona nie chcę zostać odsunięta na boczny tor.

Jonah kiwnął potakująco głową.

– Mogłabyś przedstawiać opiekę zdrowotną w krajach rozwijających się z kobiecej perspektywy. Razem jeździlibyśmy po świecie i szukalibyśmy sponsorów, a od czasu do czasu przyjeżdżalibyśmy popracować trochę tutaj, albo w Sydney, gdyby naszała nas ochota.

– Widzę, że zdążyłeś już wszystko obmyślić.

– Wyjdź za mnie.

– Ja już za ciebie wyszłam, nie pamiętasz? – rzekła i pocałowała go. – Umierałam z rozpacz, kiedy myślałam, że nie żyjesz, a kiedy wróciłeś i niczego nie mogłeś sobie przypomnieć, przeżywałam katusze, powstrzymując się, żeby nie błagać cię o miłość.

– Udowodnię ci, jak bardzo cię kocham – rzekł, rozejrzał się po oddziale pełnym zaciekawionych twarzy i dodał: – Ale nie tutaj. – Jacinta pomogła mu się podnieść. – Missy-Dokkta teraz Mrs-Dokkta – oznajmił wszem i wobec.

Wziął ją za rękę, jak gdyby chciał pokazać, że odtąd nigdy nie będzie sama, i razem wyszli z sali.

– Nawet nie podejrzewasz – zaczęła, gdy już znaleźli się w jego chacie – że mam dla ciebie więcej nowin.

Jonah zmarszczył brwi, potem rozpromienił się, gdy dotarło do niego, co sugeruje. Delikatnie położył dłoń na jej brzuchu.

– Moje dziecko?

Pochyliła się i pocałowała go.

– Nasze.

– A jak je nazwiemy? Ty decydujesz.

– Chciałabym, żebyśmy dali jej na imię Mimi.

– A jeśli urodzi się chłopiec?

– Może mieć tak na drugie imię.

Ślub odbył się w Burze.

Ian dziwił się, dlaczego państwo młodzi wynajęli z cyrku ogromny namiot, chociaż musiał przyznać, że centralny maszt udekorowany pędami winorośli wyglądał imponująco. Nie rozumiał także, dlaczego zjawili się złączeni łańcuchem uplecionym z kwiatów.

– Nie widziałeś filmu „Waleczne serce”? – zdziwiła się Noni. Uważała, że cała ta symboliczna oprawa uroczystości jest niezwykle romantyczna.

– Nie pamiętasz sceny w lesie, kiedy William Wallace żeni się z wybranką swego serca?

Ian podniósł dłoń żony do ust.

– Musiało mi to ulecieć z pamięci. Jacinta wygląda prześlicznie, prawda?

Gdy po skończonej ceremonii małżonkowie odwrócili się do zebranej rodziny i przyjaciół, Jonah przemówił z dumą:

– Oto moja żona, Jacinta Armstrong.

Wszyscy wstali i nagrodzili ich gromkimi oklas-

kami. Nagle nadleciały dwa małe błękitne motyle i na jedno mgnienie zawisły nad głowami nowożeńców. Zatrzepotały skrzydełkami, jak gdyby udzielały im błogosławieństwa, potem zniknęły w promieniach słońca.